

# rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

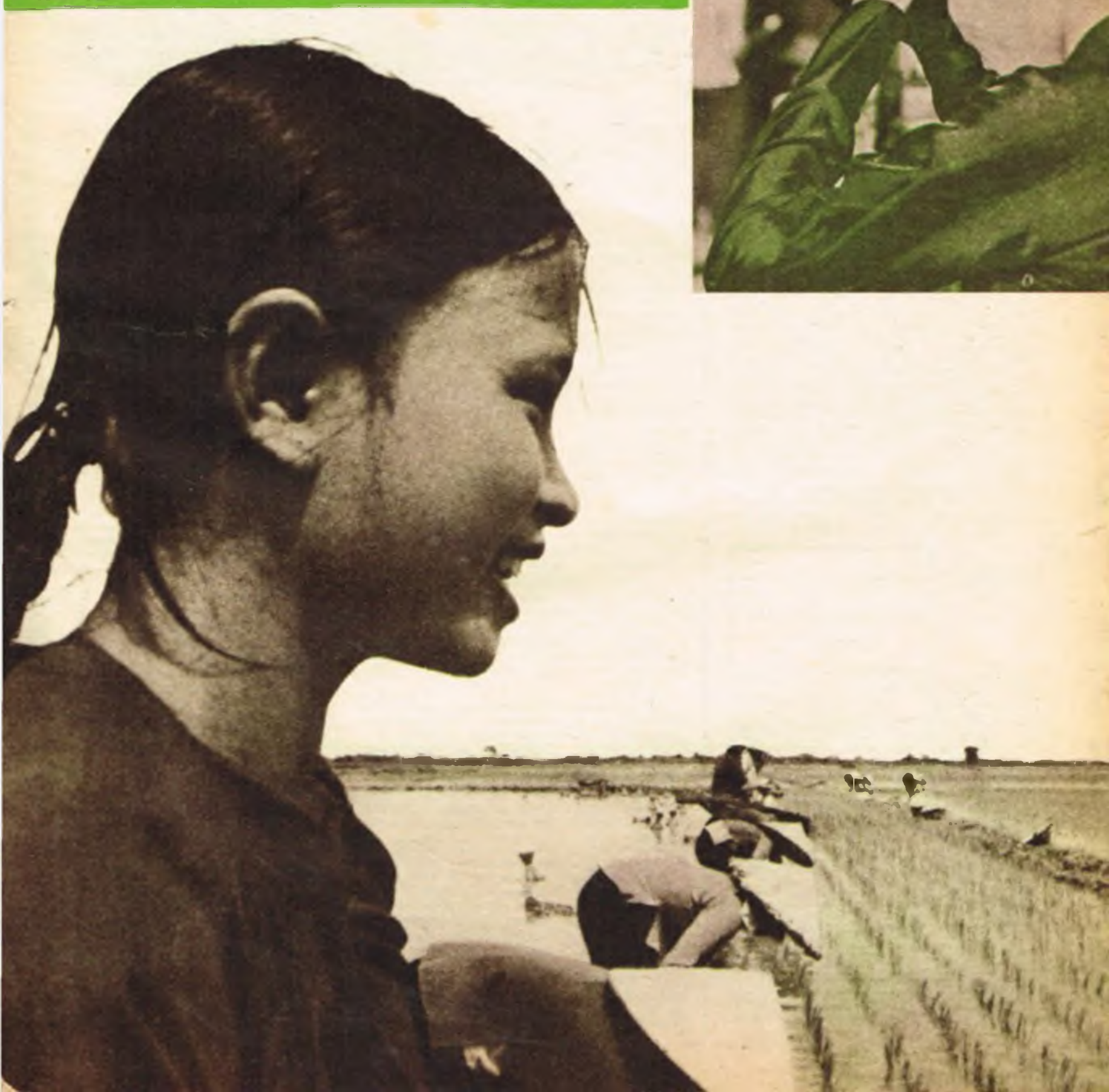
Nr 8 (653) 25 lutego 1973 r.

Cena 2 zł

POKÓJ NA SPALONEJ ZIEMI

27 ROCZNICA UZNANIA PRAWNEGO

KRZYŻ





**z listu  
św. Pawła Ap.  
do Koryntian  
(11, 11, 19 - 33;  
12, 1 - 9):**

Bracia! Wszak radzi znosić szalonych, będąc sami rozumnymi. Bo znosić, gdy kto was w niewolę podbija, gdy kto was objada, gdy wyzyskuje, gdy się wynosi, gdy was kto po twarzy bije. Na moją niekorzyść to mówię jakobyśmy w tym słabi byli. Z czego jednak kto śmie się chlubić (mówię jak szalony) odważam się i ja: Hebrajczykami są — i ja. Izraelitami są — i ja. Potemstwem Abrahama są — i ja. Slugami Chrystusowymi są (jako niespełna rozumu mówię) daleko więcej ja. W trudach bez lęzby, w więzieniach zbyt często, w chłostach ponad miarę, w niebezpieczeństwach śmierci częstokroć. Od Żydów otrzymałem pięć razy po czterdzieści plag bez jednej. Trzykrotnie byłem smagany różgami, raz byłem kamienowany, trzy razy przeżyłem rozhicie się okretu, dniami i nocą byłem na głębi morskiej. W podróżach częstych, w niebezpieczeństwach na rzekach, w niebezpieczeństwach od rozbójników, w niebezpieczeństwach od własnego narodu, w niebezpieczeństwach od pogan, w niebezpieczeństwach w mieście, w niebezpieczeństwach na pustyni, w niebezpieczeństwach na morzu, w niebezpieczeństwach wśród fałszywych braci. W pracy i mozoie, w częstym niespaniu, w głodzie i pragnieniu, w postach częstych, w zimnie i nagości. Oprócz tego, co jest ponadto jak codzienne naleganie na mnie i staranie o wszystkie Kościoły. Któż nie demaga, żebym ja nie czuł się słabym? Któż się gorszy, żebym ja nie płonął? A jeśli można się chlubić, to ze słabości mojej chlubić się będę. Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, który błogosławiony jest na wieki, wie, że nie kłamię. W Damaszku namiesznił króla Aretasa strzegł miasta Damasceńczyków, aby mnie pojmać, ale przez okno w murze w koszu zostałem spuszczonej i tak uszedłem z rąk jego. Jeśli chętnie się wypada (choć nie jest to rzecz pożyteczna), przejdę do widzeń i objawień Pańskich. Znam człowieka w Chrystusie, który przed czterdziestu laty (czy w ciele, nie wiem; czy poza ciałem, nie wiem, Bogu to wiadome) zachwycony był aż do trzeciego nieba. I wiem, że ten człowiek (czy w ciele, czy poza ciałem, nie wiem; Bóg to wie) zachwycony był do rajy i postyszał tajemnicze słowa, których człowiekowi mówić się nie godzi. Z takiego chlubić się będę, z siebie natomiast chlubić się nie będę, chyba tylko ze słabości moich. Gdybym nawet zechciał się chlubić, nie byłbym bezrozumny, bo mówiłbym prawdę. Ale wstrzymuję się, aby snadź nie rozumiał kto o mnie więcej nad to, co we mnie widzi albo co ode mnie słyszy. Abym się zaś dla wielkości objawień nie wynosił, dany mi jest bodziec ciała mego, anioł szatan, żeby mnie policzkował. Dlatego trzykrotnie prosiłem Pana, aby ode mnie odstąpił, ale mi rzekł: Dosyć masz łaski mojej, bo moc w słabości się doskonali. Rad tedy chlubić się będę ze słabości moich, aby moc Chrystusowa zamieszkała we mnie.



# SŁOWO BOŻE

Termin „słowo Boże”, którego używa Ewangelia obecnej niedzieli jest pojęciem wieloznacznym, o bardzo przy tym szerokim zakresie treściowym, dotyczy on Bożego nauczania: „Po rozlicznych i przeróżnych sposobach, jakimi niegdyś mówił Bóg do ojców przez Proroków — na koniec w tych czasach przemówił do nas przez Syna” (Hebr. 1, 1 — 2).

Owo „słowo Boże” to Boże kaznodziejstwo. Ono to, od samego początku, odgrywa w chrześcijaństwie pierwszorzędną rolę.

Już sam Jezus Chrystus w pełni siewczywiśniał ideał kaznodziei, właśnie siewczy słowa. A ziarno nauki siał w każdym miejscu, o każdej porze i przy każdej sposobności. Nie potrzebował mównicy, ni synagogi — kościoła. Do kaznodziejskiej dyspozycji miał do słownie wszystko. Wykorzystywał w tym względzie i studnię w Sychem, i brzeg jeziora Genezaret, i zakotwiczoną łódź apostoła. Korzystał z krągunków Salomona, z domu siostr Łazarza, z cienia wiekowych dębów w Basan, z ulic Jerozolimy. Przemawiał Zbawicieli, siał słowo Boże w gościnnym, kole podczas uroczystości, wśród złotych kłosów urodzajnych pól Jordanu i Jerycha, przed pałacem Heroda, na zboczach wzgórz Judy i Beniamina.

Najwyższy i najslawniejszy kaznodzieja chrystianizmu nie zamykał kaznodziejskiego słowa w kształt pisanej litery. Jezus nie pisał, ale mówił. Ewangelista autorytatywnie stwierdza: „Był potężny w czynie i słowie” (Łk. 24, 19). Niezwyklej — śledzący Go, wydalili przepiękną ocenę Jezusowego kaznodziejstwa, stwierdzając, iż „Zaden człowiek tak nie mówił, jak On” (J. 7, 46).

Przez dwadzieścia wieków chrześcijaństwa kaznodziejstwo przybierało różnorakie postacie w Kościele. Od doktrynalnej propagandy — Ewangelie, Dzieje i Listy Apostolskie, przechodziło do ekshortacji i modlitwy — Didache, Drugi List Klemensa. Od homilijnego komentarza Biblii Orygenesa, przez polemicę, apologię, egzegezę, katechezę (najczęściej anonimowe) do retorskich homilii Bazylego, Jana Chryzostoma, dwóch Grzegorzów. W średniowieczu znów było ono ludowo — wędrownie (agitacyjne) Krucjaty. Potem przeszło do rokokowych filipik, żalob-

nych egzort, wytworno-świeckich biografii i oratorskich popisów.

W Zachodnim Kościele trzeba było potężnego wulkanu szesnasto i dziewiętnastowiecznej Reformacji (Luter, Kalwin, Zwingli, Starokatolicyzm), aby przywrócić kaznodziejstwu należną funkcję i właściwe miejsce. Luter w dziele zatytułowanym „De captivitate Babylonica” uznał kaznodziejstwo za istotny element kapłaństwa, apostołstwa i misji Kościoła. Augsburskie Wyznanie Wiary nawet i Ofiarę (Mszę św.) nazywa nie bez słuszności, „głoszeniem Ewangelii i jej owocem”.

Organizator Polskokatolickiego Kościoła, Ksiądz Biskup Franciszek Hodur w „Jedenastu wielkich zasadach” tak znamienne pisze: „Wielkim nakazem Chrystusowego — Narodowego Kościoła, w myśl postanowienia Boskiego Założyciela, jest głoszenie i słuchanie Słowa Bożego. Bóg przemówił do ludzkości najwyraźniej przez Jezusa Chrystusa, gdy więc ksiądz narodowy bierze ze skarbcza wiekuistego Światła, Mocy i Życia, powtarza Ewangelię Zbawiciela w tym samym duchu, jak to czynił Wielki Pośrednik ludzkości, tłumaczy ją, uprzednia, rozszerza i pogłębia, stosownie do potrzeb czasu... Ci zaś, którzy słuchają Słowa Bożego godnie, ufnie i szczerze, łączą się z Panem Bogiem, z Nim współpracują... odradzają się, stają się mocni w swych postanowieniach, zdecydowani na wszystko dziedzicami wszechświata” (§ 6). Natomiast „Podstawowe Prawo” Kościoła wyraźnie przypomina wiernym o obowiązku korzystania z nadprzyrodzonych dóbr Kościoła przez „uważne słuchanie Słowa Bożego, czyli kazań” (kan. 17c).

Pod koniec zatrzymajmy się jeszcze chwilę przy wyjątkowo pożytecznych w tym względzie wskazaniach św. Pawła — doskonałego teoretyka i praktyka Chrystusowego kaznodziejstwa: „Bo nie samych siebie opowiadamy, ale Jezusa Chrystusa Pana naszego” (2 Kor. 4, 5), „Przepowiadaj słowo, nalegaj w czas, nie w czas; karć, proś, grom z wszelką cierpliwością i nauką” (2 Tym. 4, 2), „Cóż tedy jest moją zapłatą? Żebym opowiadając Ewangelię darmo ją opowiadał, żebym prawa mego nie nadużywał w Ewangelii” (1 Kor. 9, 18).

**Ks. ANTONI PIETRZYK**

**Według  
św. Łukasza  
4-15):**

Onego czasu: Gdy się zgromadziła rzesza wielka i z miast zdążyli do Niego, mówił w przypowieści: Wyszedł siewca rozsiewać ziarna swoje. A gdy siał, jedno padło przy drodze. I zdeptane jest, a ptaki niebieskie wydziobały je. A drugie padło na grunt skalisty, a wszedłszy uschło, gdyż nie miało wilgoci. A inne padło między ciernie, a ciernie wzrosły wespół z nim i przygłuszyły je. A inne jeszcze padło na ziemię urodziwną i gdy wzrosło wydało plon stokrotny. To mówiąc wołał: Kto ma uszy ku słuchaniu niechaj słucha. Pytali Go tedy uczniowie Jego, co by to była za przypowieść. A On im rzekł: Wam dane jest poznać tajemnice Królestwa Bożego, innym zaś przez przypowieści, aby patrzyli, a nie ujrzeli i słyszeli, a nie rozumieli. Taką zaś jest przypowieść: ziarnem jest słowo Boże. Przy drodze są ci słuchacze, do których potem przychodzi szatan i porywa słowo z serca ich, aby uwierzywszy nie byli snadź zbawieni. A na gruncie skalistym są ci, którzy postysząwszy, z radością przyjmują słowo. Ale ci kornienia nie mają, wierzą do czasu, a w chwili próby ustępują. To znów, które padło między ciernie, oznacza tych, którzy postyszą, ale odchodząc, przez troski, bogactwa i rozkosze życia są przygłuszeni i nie przynoszą owocu. Które jednak upadło na ziemię dobrą, oznacza słuchaczy w dobrym i szczerym sercu zachowujących słowo, którzy w wytrwałości owoc przynoszą.



**SEMINARIUM LITURGHII  
PRAWOSŁAWNEJ  
I TEOLOGII**

Jak informuje EPD (Nr 46 15.XI.72), od 16 do 29 kwietnia 1973 odbędzie się w Instytucie Ekumenicznym Bossey Seminarium dla słuchaczy nieprawosławnych, poświęcone studiom nad prawosławnym nabożeństwem i liturgią. Jest to okres liturgiczny kościelnego tygodnia w Kościele Prawosławnym. Jednocześnie podobne seminarium odbędzie się w Prawosławnym Instytucie Teologicznym w Paryżu. Wykłady będą wygłaszane w językach angielskim, francuskim i niemieckim.

**OPIEKA RELIGIJNA  
NAD CYGANAMI  
W NRF**

W NRF zamieszkuje ok. 30—40.000 Cyganów i in. prowadzących koczowniczy tryb życia ludzi, których liczbę trudno ostatecznie ustalić. Najwięcej inicjatywy w kierunku objęcia tych ludzi opieką duszpasterską przejawia Kościół Rzymskokatolicki, który przygotowuje kadry duchownych dla pracy wśród Cyganów (EPD Nr 46).

**DEKLARACJA  
72 PROFESORÓW-  
-TEOLOGÓW**

**W SPRAWIE WOJNY  
W INDOCHINACH**

W grudniu 1972 r. odbyło się w Bostonie (USA) spotkanie protestanckich i katolickich profesorów, poświęcone amerykańskiej wojnie w Indochinach. Zebrani w Bostonie profesorowie teologii ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Europy i Ameryki Łacińskiej opublikowali deklarację, w której oświadczyli, że „postępowanie Stanów Zjednoczonych w Indochinach spowodowało katastrofę ludzką, którą można porównać do mordów masowych Nazistów”. Zniszczenia bowiem, które ta wojna przynosi ludności Indochin, ma według opinii profesorów charakter mordu masowego ludności, wyniszczenia narodów. W deklaracji m. in. stwierdzono, że w ciągu pięcioletniej kadencji prezydenta Nixona „wymordowano, raniło i wysiedlono” w południowej Azji 4,5 milionów ludzi. Oprócz tego 1,5 miliona żołnierzy zginęło po obu stronach (LWB Nr 60/72).

**STATYSTYKA  
WYZNAWCÓW KOŚCIOŁÓW  
CHRZEŚCIJAŃSKICH  
W NRD**

Czas. Rheinischer Merkur (17.XI.72 r.) podaje następujące dane statystyczne, dotyczące ilości wyznawców kościołów chrześcijańskich w NRD. Ogólna liczba chrześcijan w NRD sięga przeszło 10,9 miliona wyznawców, a w tym

ponad 9,5 miliona należy do krajowych kościołów ewangelickich, wchodzących w skład Związku Kościołów (Kirchenbund), ok. 1.3 miliona wyznawców Kościoła Rzymskokatolickiego oraz 90.000 członków tzw. Wolnych Kościołów. Wszystkie wyżej wymienione denominacje kościelne zatrudniają łącznie 6.400 pracowników kościelnych (proboszczów, przewodniczących zborowych itp.), a z tego 4.630 pastorów Kościołów ewangelickich, 1.450 proboszczów rzymskokatolickich i 330 pracowników duchownych Kościołów Wolnych.

**KATHPRESS SYGNALIZUJE  
NOWĄ REGULACJĘ  
STOSUNKÓW MIĘDZY  
PAŃSTWEM A KOŚCIOŁEM  
RZYMSKOKATOLICKIM  
W HISZPANII**

Kolejna sesja plenarna episkopatu rzymskokatolickiego Hiszpanii, wyznaczona na okres 27.XI.—3.XII.72 r. w Madrycie, miała przysuszczać rozpatrzyć nowy projekt aktu regulującego stosunki między Państwem a Kościołem w Hiszpanii. Prospekt ten został opracowany przez specjalną Komisję. Rzekomo ma on być oparty o zasadę „sprawiedliwej niezależności” Kościoła od Państwa.

Jak informuje Kathpress (17.XI.72 r.), stary konkordat, zawarty w 1953 r., aczkolwiek przyznawał obu stronom znaczny przywilej, stał się dla hierarchii uciążliwy, ponieważ pozbawiał Kościół „wewnętrznej wolności”.

Oto zasadnicze przywileje Kościoła w Hiszpanii:

— wyjątkowo uprzywilejowana pozycja Kościoła Rzymskokatolickiego w porównaniu z innymi religiami, a mianowicie:

— zwolnienie Kościoła od podatków,

— zwolnienie duchownych od obowiązku służby wojskowej

— prawo weta dla biskupów w postępowaniu sądowym przeciwko duchownym,

— przyznanie aktom małżeństwa kościelnemu skutków cywilno-prawnych,

— subwencja państwa na rzecz Kościoła (na szkolnictwo rzymskokat., konserwację zabytków kościelnych i pensje dla duchownych),

Natomiast przywileje państwa polegały:

— na mianowaniu biskupów przez szefa państwa,

— wpływ państwa na obsadę parafii (nominacje wymagały zgody władz),

Ostateczna decyzja jednak zależy również od Watykanu i nie wiadomo, czy ostatni zrezygnuje z przywilejów, które w zasadzie zabezpieczają dominację Kościoła w tym katolickim kraju.

**ZAMACH BOMBOWY  
NA REZYDENCJĘ  
RZYMSKOKATOLICKIEGO  
BISKUPA STRASSBURGU**

Według informacji Kathpress (20.XI.72 r.) nieznanymi sprawcy dokonali zamachu



Portal Katedry w Trogir (Jugosławia)

bombowego na rezydencję biskupa w Strassburgu. Zamach wyrządził poważne szkody materialne. Jednak strat w ludziach nie było, ponieważ zamach dokonano podczas nieobecności gospodarza i kuria-listów.

**KARDYNAŁ DANIELAU  
CZŁONKIEM AKADEMII  
FRANCUSKIEJ**

W listopadzie 1972 r. Kardynała Danielau wybrano do Akademii Francuskiej na miejsce, zwolnione po śmierci Kardynała Tisseranda, większością 16 głosów na 28 głosujących. Nowo wybrany urodził się 14.V.1905 r. w Nenilly, w rzymskokatolickiej rodzinie parlamentarzysty i ministra Charles Danielau oraz fundatora kolegiów Najświętszej Marii Panny w Nenilly. Ukończył Sorbonę i Instytut Katolicki w Paryżu z tytułem doktora filozofii i teologii. Po wstąpieniu do Zakonu Jezuitów rozpoczyna karierę duchowną. W 1938 r. otrzymuje święcenia kapłańskie w 1944 r. — profesor na wydziale teologii Instytutu Katolickiego, którego był wychowankiem, a od 1962 r. do 1969 r. dziekan tego zakładu. Oznaczony wybitną indywidualnością zajmuje się publikacją licznych swoich prac z zakresu teologii i historii Kościoła, nie unika też publicystyki, pisząc artykuły w „Osservatore Romano”, „La Croix”, „La France Catholique” itp. Od 1969 r. po nominacji na kardynała rozszerza tu swą działalność, zakła-

da tzw. „Koło św. Jana Chrzciciela”, którego głównym zadaniem jest prowadzenie dialogu z religiami niechrześcijańskimi. Odnacza się niezależnością poglądów, co stwarza mu nie zawsze wygodne sytuacje. (La Croix 11—12.XI.72 r.).

**POWOŁANIA  
KAPŁANÓW W AUSTRII**

W 9 seminariach duchownych Kościoła Rzymskokatolickiego Austrii w 1972/73 roku akademickim studiuje ogółem 440 alumnów — kandydatów na księży diecezjalnych, a w tym 116 eksternów. W porównaniu z rokiem ubiegłym (450) liczba ta spadła o 10 alumnów. Natomiast liczba eksternów zwiększyła się z 99 do 116. (Kathpress — 16.XI.72 r.).

**ZMIANY NA STANOWISKU  
DYREKTORA  
RZYMSKOKATOLICKIEJ  
AKADEMII  
SOCJOLOGICZNEJ  
W AUSTRII**

Jak informuje Kathpress (13.XI.72), po zgonie dotychczasowego dyrektora w.w. Akademii, jezuita dr. Waltera Riener'a, rzymskokatolicki episkopat Austrii mianował na to stanowisko następnego jezuitę, dr. Herwiga Büchelego. Büchele ma 37 lat i aktualnie przeprowadza przewód habilitacyjny w zakresie etyki społecznej na uniwersytecie w Innsbrucku.

**PRAWOSŁAWNY  
ARCYBISKUP KARELII  
I CAŁEJ FINLANDII  
Z WIZYTĄ U PAPIEŻA  
PAWŁA VI**

Prawosławny arcybiskup Autonomicznego Kościoła Finlandii Paavoli został przyjęty przez papieża Pawła VI na audiencji z towarzyszącymi mu osobami. Ze strony gospodarzy arcybiskupowi towarzyszył jezuita o. Piotr Duprey, podsekretarz stanu w Sekretariacie Jedności Chrześcijan (Oss. Rom. 12.XII/72).

Chrzcielnica w kościele w Olten









# POKÓJ NA SPALONEJ ZIEMI

głową. Łącznie ponad 11 mln ludzi.

Stany Zjednoczone wydały na tę okrutną wojnę 141 miliardów dolarów. Jest to mniej więcej równowartość całego majątku narodowego Polski, czyli wszystkich naszych domów, fabryk, zapasów, mostów itp. Jest to także, na amerykańskie ceny, równowartość siedmiu milionów mieszkań. Dwukrotnie więcej niż wszystkie razem wzięte kredyty z tytułu planu Marshalla.

Dzień w dzień przez dwanaście lat rząd Stanów Zjednoczonych wydawał na prowadzenie wojny 45 milionów dolarów.

Tak bezlitośnie przemawia-

naukowe w zakresie medycyny, dokonuje się przeszczepów serca, nerek i innych części ciała. W walce o życie człowieka setki ludzi biorą udział w jego ratowaniu. A tymczasem w Wietnamie za nic ginęło 1.500 ludzi dziennie. Absolutny bezsens. Dlatego cały świat, a w tym i naród polski przyjął wiadomość o przywróceniu pokoju w Wietnamie z głęboką satysfakcją. Nasz kraj przez cały czas okazywał wszechstronną pomoc narodowi Wietnamskiemu. Wysyłaliśmy transporty zawierające leki i żywność. Nasi specjaliści okazywali pomoc w budowie obiektów przemysłowych. Szukaliśmy dróg do zaprzestania wojny dla narodu wietnamskiego, który przez przeszło 30 lat nie zaznał pokoju.



Le Duc Tho parafuje układ o przerwaniu ognia



Minister spraw zagranicznych DRW Nyuyen Duy Trich (2 z lewej, w głębi) pozdrawia sekretarza stanu USA Williama Rogersa (z prawej, tyłem do kamery) przed rozpoczęciem uroczystości podpisania porozumienia.

ją dane statystyczne zawarte w koszmarach cyfrach. A przecież w tej wojnie brała udział wysokocywilizowana ludność żyjąca w dobie atomu, wypraw na Księżyc i innych wiekowych poczyniła. Aż nie chce się wierzyć, że ludzie żyjący w dobie tak rozwiniętej cywilizacji i kultury potrafią zabijać jeden drugiego.

Jak można zabijać, skoro lekarze tak zawzięcie walczą o każde życie człowieka na Ziemi. Buduje się bardzo kosztowne szpitale, wydatkuje się ogromne sumy na badania

Wojna została zakończona. Naród wietnamski przystąpił do odbudowywania swej Ojczyzny. Należy odbudować transport, miasta i przemysł, który został doszczętnie zniszczony. Z pomocą odbudowy ze zniszczeń wojennych zadeklarowało się w licznych wypowiedziach wielu mężów stanu, a przede wszystkim ze strony krajów socjalistycznych.

„Pragniemy zapewnić was, drodzy towarzysze, o dalszym niezmiennym poparciu Pol-

skiej Rzeczypospolitej Ludowej dla wprowadzenia w życie zawartych porozumień o przywróceniu pokoju w waszym kraju i o dalszej gotowości rozszerzania współpracy między naszymi państwami”. — Czytamy w depeszy gratulacyjnej przysłanej przywódcą DRW, NF WWP i TRR RWP przez przywódców polskich — Edwarda Gierka Henryka Jabłońskiego i Piotra Jaroszewicza — i dalej „życzymy wam, drodzy przyjaciele, jak największych osiągnięć w waszej pracy nad utrwaleniem owoców zwycięstwa, w odbudowie i pokojowym rozwoju waszego kraju.

— Naród Polski będzie nadal konsekwentnie wspierał wasze wysiłki zmierzające do odbudowy jedności narodowej, postępowego i demokratycznego rozwoju waszego kraju”.

Porozumienie o zaprzestaniu wojny w Wietnamie podpisuje minister spraw zagranicznych TRR RWP pani Nguyen Thi Binh.





27

# ROZNIKA UZNAANIA PRAWNEGO

W dniu 1 lutego 1973 roku minęło 27 lat od momentu uznania prawnego Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego (aktualna nazwa: Kościół Polskokatolicki). W piśmie Departamentu Wyznaniowego Ministerstwa Administracji Publicznej z dn. 1 lutego 1946 roku (Ldz. V. 14486 45) powołano się na art. 116 Konstytucji z 17 marca 1921 roku (Dz. U. Nr 44, poz. 276).

Fakt uznania prawnego PNKK został przyjęty przez duchowieństwo i wyznawców, tak w kraju jak i za granicą, z wielką radością i zarazem wdzięcznością wobec władz Państwowych.

W okresie międzywojennym mimo licznych starań PNKK nie udało się uzyskać uznania prawnego. Wszelkie próby zbywano wykrętnymi odpowiedziami oraz nieobowiązującymi obietnicami. Za przykład może posłużyć m. in. odpowiedź na wniesione przez ks. Ptaszka podanie z dn. 5 sierpnia 1922 roku o zgodę na założenie parafii PNKK w Krakowie. Podanie to zostało wniesione do Ministerstwa WriOP za pośrednictwem województwa krakowskiego z powołaniem się na ustawę austriacką z dn. 20 maja 1874 roku (Dz. U. p. nr 68). Odpowiedź została przedrukowana na łamach „Polski Odrodzona” — organu prasowego PNKK. A oto jej treść: „Ministerstwo WriOP załatwiając prośbę Pana wniesioną przez województwo krakowskie ... w sprawie uznania Polskiego Kościoła Narodowego w Krakowie, oznajmiło reskryptem z dn. 30 stycznia 1923 roku nr 486. Dep. Wyzn., że stosownie do postanowienia art. 116 w związku z art. 115 Konstytucji, do uznania nowego związku religijnego niezbędne jest upoważnienie rządu przez władzę ustawodawczą w drodze uchwalenia ustawy ramowej określającej warunki, pod którymi rząd będzie władny rozstrzygnąć o uznaniu nowego związku religijnego. Projekt takiej ustawy ramowej będzie wniesiony w najbliższym czasie do Sejmu. Zanim Władza Ustawodawcza nie zdecyduje w tej sprawie Ministerstwo WR i OP nie jest upoważnione do udzielenia pozwolenia na założenie i ukonstytuowanie się gminy wyznaniowej „Polskiego Narodowego Kościoła” w Krakowie”. („Polska Odrodzona”, Kraków 1923, nr 5, str. 13).

Jednocześnie Ministerstwo stwierdziło, że do czasu uzyskania państwowego uznania, wyznawcom PNKK „na terenie Małopolski przysługuje jedynie prawo odprawiania nabożeństw domowych po myśli obowiązującego na tym terenie art. 16 Ustawy austriackiej z dn. 21 grudnia 1867 roku” (Dz. U. p. nr 142).

Powyższy gest ze strony Ministerstwa WriOP, „Polska Odrodzona” nazwała „wielkim krokiem naprzód” (nr 14 str. 15). Radość wyznawców PNKK była jednakże przedwczesna, gdyż już na początku maja 1923 roku do kaplicy PNKK w Krakowie z rozkazu wojewody wkroczyła policja i zabroniła odprawiania Mszy Św. O wyjaśnienie tego zakazu zwrócił się Ks. Bp Hodur i ks. Bończak do urzędu wojewódzkiego w Krakowie. Stanowisko wojewody przedstawił im radca Bro-

szkiewicz. Stwierdził on, że na podstawie austriackiego prawa niedozwolony jest kult żadnego wyznania niezalegalizowanego. Możliwe są jako nabożeństwa domowe jedynie te, w których udział biorą „członkowie tej samej rodziny a więc: ojciec, matka, dzieci oraz służąca tej rodziny; żadne inne osoby udziału w nich brać nie mogą”.

Gdy powołano się na wymienione wyżej rozporządzenie Ministerstwa, radca Broszkiewicz oświadczył, że „Ministerstwo nie zna należyte tutejszego prawa”. Następnie podkreślił, że żadnego rozporządzenia wojewoda nie otrzymał... a gdyby nawet takie rozporządzenie nadeszło zwróciłibyśmy je Ministerstwu z wyjaśnieniem, że nasze jest jedynie miarodajne i właściwe. Dopóki legalizacja Kościoła Narodowego nie nastąpi, nie zezwolimy na żadne nabożeństwa ani zgromadzenia, bo niezalegalizowane wyznanie jest tym samym zakazane”.

W Ministerstwie WriOP w Warszawie delegacji PNKK oświadczone, że rozporządzenie ministra było wysłane — z podpisem dyrektora Piekarskiego w imieniu ministra. Poradzano jednak złożenie na piśmie w Ministerstwie oświadczenia w danej sprawie i zapewniono, że „ministerstwo wtedy wyśle jeszcze raz odpowiednie rozporządzenie z podpisem samego ministra”. (zob. art.: „Minister czy wojewoda”, „Polska Odrodzona” Kraków 1923, nr 17 str. 5—6).

Nie znaczy to oczywiście, że władze centralne nie mogły zapanować nad sytuacją. Samowola w tym względzie władz terenowych była celowo tolerowana przez władze centralne. Tak więc decydowały nie przepisy Konstytucji lecz pokutujące w tej dziedzinie najczęściej przestarzałe ustawy i rozporządzenia byłych zarządców, lecz lokalna polityka wyznaniowa, której kierunek zależał od osobistego nastawienia lub światopoglądu miarodajnej osobistości.

Mniejszości wyznaniowe niejednokrotnie wyrażały swój protest przeciwko stosowanej przez ówczesne władze praktyce wobec wyznań nie posiadających prawnego uznania. Na uwagę zasługuje tu wielki wiec manifestacyjny, który odbył się w dn. 2 grudnia 1928 roku w Warszawie. Zgromadził on olbrzymi tłum pokrzywdzonych obywateli ze wszystkich sfer społecznych i wyznaniowych, a przewodniczył mu prezes PSL „Wyzwolenie” — senator Nocznicki.

Na wspomnianym wiecu uchwalono rezolucję, w której m. in. domagano się:

— niezwłocznego wydania ustawy wykonawczej do art. 116 i 111 konstytucji o wolności sumienia — prawnego uznania bezwyznaniowości i związków pozawyznaniowych, oraz legalizacji nieuznanych związków wyznaniowych;

— zniesienie wyznaniowej rejestracji przez osoby duchowne aktów stanu cywilnego i powierzenie tych czynności urzędom państwowym;

— obowiązkowego urzędowania wspólnych cmentarzy komunalnych, przeznaczonych dla wszystkich obywateli bez różnicy narodowości i wyznania;

— szkoły świeckiej i usunięcia nauki reli-

gii ze szkół publicznych oraz zniesienia przymusowych praktyk religijnych:

— oddzielenie kościołów od państwa oraz zniesienie wszystkich praw i przywilejów, przysługujących kościołom i ich duchownym;

— usunięcia osób duchownych od urzędów publicznych i polityki, od publicznego wychowywania i nauczania zawodowego;

— nadzoru państwowego nad źródłami ofiar i dochodów oraz nad majątkiem kościołów i gmin wyznaniowych, na równi z powszechnie obowiązującymi przepisami dla osób prawnych;

— zniesienia wszelkich przymusowych danin, opłat i podatków kościelnych;

— zerwania konkordatu z Rzymem i cofnięcia wszystkich subwencji i zapomóg z funduszy publicznych, udzielanych kościołom i związkom wyznaniowym, skreślenia z budżetu Ministerstwa WriOP na rok 1929/30 sum, przeznaczonych na potrzeby wyznań religijnych, gdyż każde wyznanie powinno samo siebie utrzymywać. („Polska Odrodzona”, Warszawa 1928, nr 24, s. 9—11).

Na skutek usilnych starań Obywatelskiego Komitetu Walki o Wolność Sumienia w dniu 14 grudnia 1928 roku wniesiono do łaski marszałkowskiej dwa projekty „ustawy wykonawczej do art. 111, 113 i 116 konstytucji o wolności wyznań i legalizacji związków religijnych i pozawyznaniowych”. Jeden projekt wniosła grupa posłów PPS, drugi — posłowie z PSL „Wyzwolenie”.

Dalszy los obydwu projektów ustawy wynika jasno z protokołu posiedzenia Komisji Konstytucyjnej Sejmu dn. 22 marca 1929 roku. Z protokołu tego dowiadujemy się, że przedstawiciel Ministerstwa WriOP wystąpił z prośbą do Komisji Konstytucyjnej o odroczenie obrad w tej sprawie i zobowiązał się w imieniu Rządu do przedstawienia Sejmowi w ciągu 6 miesięcy rządowego projektu ustawy wykonawczej do art. 111 i nast. konstytucji. Tak więc obrady w tej sprawie zostały odroczone a przyobiecany projekt rządowy nigdy się nie ukazał.

Postulaty polskiej opinii publicznej lat międzywojennych a także okresu okupacji hitlerowskiej zostały uwzględnione dopiero przez władzę ludową. Już w pierwszym akcie prawnoustrojowym państwa Manifestacji PKWN z dn. 22.VII.1944 r. proklamuje on przywrócenie swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości oraz wolności sumienia. Potwierdzeniem tego aktu była deklaracja Sejmu Ustawodawczego z dnia 22.II.1947 r. Deklarowane swobody znalazły odzwierciedlenie w aktach prawnych państwa ludowego. Obok wielu ustaw laicyzacyjnych w zakresie stosowania prawa, władze podjęły niezbędne kroki mające na celu prawne uznanie dotychczas nie uznanych związków wyznaniowych oraz faktyczne i prawne ich zrównanie. I tak szereg związków wyznaniowych nie posiadających w okresie międzywojennym prawnego uznania w PRL zostało zalegalizowanych.

Obok aktu legalizacji PNKK wydanego w dniu 1 lutego 1946 r. ważnym dokumentem dla naszego Kościoła jest rozporządzenie Ministra Administracji Publicznej z dnia 13 maja 1947 roku (Dz. U. nr. 41, poz. 203 i 204 o przyznaniu mocy dowodowej księgom, przeznaczonym do rejestracji urodzeń, małżeństw i zgonów, prowadzonych przez PNKK.

Piąty Ogólnopolski Synod Kościoła uchwalił Podstawowe Prawo Kościoła Polskokatolickiego w PRL, które zostało uznane decyzją dyrektora Urzędu do Spraw Wyznań z dnia 6 grudnia 1966 roku. W ten sposób ostatecznie została określona sytuacja prawna Kościoła Polskokatolickiego.

W rocznicę uznania prawnego, Kościół Polskokatolicki kieruje pod adresem Rządu Polski Ludowej swą wdzięcznością i podziękowanie z jednoczesnym zapewnieniem o dalszej rzetelnej pracy dla dobra i rozwoju naszej Ludowej Ojczyzny.

Ks. WIKTOR WYSOCHAŃSKI



**WYBÓR ŚW. MACIEJA** na apostoła jest pierwszym przekazanym nam wydarzeniem apostołskim, które miało miejsce przed zesłaniem Ducha Świętego w Wieczerniku. Dzieje Apostolskie (1, 15—26) ukazują dokładny opis tego wydarzenia: „W onych dniach powstał Piotr wśród braci, a było tam zebrane grono około stu dwudziestu osób — i rzekł: Mężowie bracia! Musiało się wypełnić Pismo, w którym Duch Święty przepowiedział przez usta Dawida o Judaszu, który stał się przywódcą tych, co pojmwali Jezusa. Bo został on zaliczony do naszego grona i miał udział w tej służbie. On to za otrzymaną zapłatę za nieprawość nabył pole, a upadłszy, pękł na dwoje i wypłynęły wszystkie wnętrności jego. I stało się to wiadome wszystkim mieszkańcom Jeruzolimy, tak że nazwano owo pole w ich własnym języku Akeldama, to jest Pole Krwi. Napisano bowiem w księdze Psalmów: niech siedziba jego stanie się pusta i niech nikt nie mieszka w niej. oraz: A urząd jego niech weźmie inny. Trzeba więc, aby jeden z tych mężów, którzy chodzili z nami przez cały czas, kiedy Pan Jezus przebywał między nami — począwszy od chrztu Jana, aż do dnia, którego od nas został wzięty w górę — stał się wraz z nami świadkiem jego zmartwychwstania. I wskazał dwóch: Józefa, zwanego Barsabą, którego też nazywano Justem i Maciejem. Potem modlili się tymi słowy: Ty, Panie, który znasz serca wszystkich, wskaż z tych dwóch jednego, którego obrał. Aby zajął miejsce w tej służbie i w posłannictwie, któremu sprzeniewierzył się Judasz, aby pójść na miejsce swoje. I dali im losy, a los padł na Macieja i został zaliczony do grona jedenastu apostołów”.

Przed zgromadzeniem apostołskim staję dwóch kandydatów, ponieważ tylko oni dwaj odpowiadali warunkom wyboru: znali osobiście Jezusa i byli świadkami Jego zmartwychwstania. Piotr bierze w ręce inicjatywę zarządzenia apostołskiego i nim kieruje, ale wybór należy tylko do Pana Niebios, bo tylko On jeden ma władzę powoływania apostołów. I dlatego apostołowie uciekają się do ciągnięcia losów.

Ten rodzaj wyboru wynikał z

Złote tabakulum z kościoła w Sal (Dania) wspaniałe dzieło artystów XIII w.

## ŚWIĘTY MACIEJ

## A P O S T O Ł



wyjątkowego charakteru apostołstwa i nigdy się już odtąd nie powtórzył. Tak więc św. Maciej został powołany i zajął miejsce obok jedenastu apostołów. O pracy apostołskiej i dalszych losach św. Macieja nie wiemy nic pewnego. Ale na pewno tak, jak i inni apostołowie, udał się do krajów pogańskich, przypuszczalnie do Etiopii głosząc dobrą nowinę i tam zginął śmiercią męczeńską za Chrystusa. Klemens Aleksandryjski przekazał nam w spuściźnie słowa tego apostoła: „Osiabiał ciało umartwieniami, aby duch poddany był Ukrzyżowanemu”.

Aczkolwiek św. Maciej został apostołem, to jednak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa nie czczono go na równi z apostołami, ponieważ liczbę dwuna-

stu dopełniono osobą św. Pawła. W pierwszej części kanonu rzymskiego wśród imion apostołów, nie ma imienia św. Macieja. „Łącząc się ze czcią wspominając chwalebna zawsze Dziewicę Maryję, Rodzicielkę Boga i Pana naszego Jezusa Chrystusa, a także błogosławionych apostołów i męczenników Twoich: Piotra i Pawła, Andrzeja, Jakuba, Jana, Tomasza, Jakuba, Filipa, Barłomieja, Mateusza, Szymona i Tadeusza oraz wszystkich świętych Twoich”... Natomiast w drugiej części kanonu wśród mężów apostołskich figuruje imię św. Macieja obok św. Szczepana: „Nam też grzesznym sługom Twoim ufność w wielkości miłosierdzia

Twego pokładającym, racz dać jakąś część wspólnoty ze świętymi Twoimi apostołami i męczennikami: z Janem, Szczepanem, Maciejem, Barnabą, Ignacym, Felicją, Perpetuą, Agatą, Łucją, Agnieszką, Cecylią, Anastazją oraz wszystkimi świętymi Twymi”...

Dopiero za Piusa V przyznano św. Maciejowi ten sam stopień kultu, jaki był przyznany innym apostołom. Wtedy też zaprowadzono święto ku jego czci 24 lutego, a w latach przestępnych 25 lutego.

We Mszy św. Kościół wysławia apostołów jako przyjaciół Bożych i książąt Królestwa Bożego. Modlitwa mszalna jest prośbą o tkliwe miłosierdzie Pana Niebios:

„Boże, prosimy Cię, abyś za wstawieniem świętego Macieja, którego przyłączyłeś do grona apostołów Twoich, okazywał nam zawsze tkliwe miłosierdzie swoje. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa”...

Święty Maciej opuścił wszystko i poszedł razem z apostołami rzucać w serca ludzkie ziarna słowa Bożego. Za trudy, znoje, cierpienia i męczeństwo osiągnął nagrodę życia wiecznego w Królestwie Jezusa Chrystusa: „Oto my opuściliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą, coż za to mieć będziemy? A Jezus rzekł im: Zaprawdę powiadam wam, że wy którzyście poszli ze mną w odrodzeniu, gdy Syn Człowieczy zasiądzie na tronie chwały swojej, zasiądzie i wy na dwunastu tronach i będziecie sędzić dwanaście pokoleń izraelskich. I każdy, kto by opuścił dom, albo braci, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo dzieci, albo rolę dla imienia mego, stokroć tyle otrzyma i odziedziczy żywot wieczny” (Mt 19, 27—29).

**KS. R. SOKOŁOWSKI**



## PARAFIALNY „OPLĄTEK” W ŁĘKACH DUKIELSKICH

Imprezę zorganizowano w święto Trzech Króli. Wzięła w niej udział cała parafia oraz bardzo wielu braci naszych z Kościoła Rzymskokatolickiego.

Na wstępie wystawiono sztukę sceniczną w dwóch odsłonach pt. „Grusza na miedzy” — Stefani Zawadzkiej, w adaptacji ks. mgra Eugeniusza Elerowskiego, proboszcza parafii łękiej. („Grusza na miedzy” zdobyła na konkursie Towarzystwa Teatru i Muzyki Ludowej w Łodzi I nagrodę. Jest krytyką na spory międzysąsiedzkie, w środowiskach wiejskich, jest „satyrą na klótliwych chłopów”). Sztukę realizowali członkowie Koła Teatru Amatorskiego, które niedawno powstało przy parafii polskokatolickiej w Łękach Dukielskich. Był to więc aktorski debiut — moim zdaniem

bardzo udany... „Gruszę na miedzy” oraz jasełkę wystawiono na scenie Domu Ludowego w Łękach. Następnie odegrano 3-aktową jasełkę pt. „Szopka Betlejemska”, napisaną przez księdza proboszcza, a wykonaną przez Dziecięcę i Młodzieżowy Zespół Teatralny, założony w ubiegłym roku przy naszej parafii oraz chór mieszany. Na uwagę zasługują śpiewane podczas jasełki mniej znane koledy ludowe i pastorałki takie jak: „Oj maluśki, maluśki”, „Nasz wsiowy Pan Jezus”, „Moi roztomili”, „Nie było miejsca dla Ciebie”. Obydwa przedstawienia zostały dobrze przyjęte i gorąco oklaskiwane przez licznie zgromadzoną publiczność.

Po wstępnej części artystycznej odbyła się część oficjalna. A więc było przemówienie probosz-

cza, składano życzenia przy łamanju się oplątkiem, śpiewano koledy, był dla dzieci Mikołaj z workiem prezentów w towarzystwie anioła i diabełka, była loteria fantowa — tzw. kosz szczęścia, pokazano humorystyczne skecze, odbyło się wiele ciekawych konkursów (taneczne, piosenkarskie, zręcznościowe) i wesołych zabaw, w których brali udział młodzi i starzy.

Impreza była udana, a co najważniejsze — pożyteczna dla środowiska naszej wsi. Zapal uczestników jest dowodem na to, że należy podobne imprezy organizować, stosownie do różnych okoliczności życia religijnego i społecznego. Bo takie spotkanie przy udziale muzyki, żywego słowa i wzajemnym obcowaniu bez względu na przynależność wyznaniową — bawią, uczą i wychowują.

**MARIAN ROWSKI**



# HEJ GORCE,



Widok na Turbacz od strony południowo-wschodniej

*„Naprzeciw Tatr, między doliną nowotarską, a wężowatą kotliną Raby, wspięło się gniazdo dzikich Gorców. Od romantycznych Pienin odciął je wartki kamienicki potok, a od spiskiej krainy odgraniczył je falami bystry Dunajec. Samotnie stoją nad wzgórzami. A wyżej jeszcze nosi głowę ociec ich rodu, zasepiony Turbacz. Nie wiadomo, kto go chrzcil i skąd mu to miano. Owija lysą głowę, albo raczej, że widywano go stale w turbacji wiecznej. Podle się z nim losy zaobeszły, dając mu zwykłą dumę wierchów i nadszczytów, a nie dając ich wielkości nadchmu rnej. Otoczyły go jeszcze tłumem bliźniąt, wśród których maleje do znaku i zdaje się być zwykłą górą. A przecież coś mu się śni, że przed potopem inaczej było — coś mu się śni...”*

Tym plastycznym i bardzo pięknym opisem Turbacza rozpoczyna Władysław Orkan swoją powieść „W Roztokach”. Zanim wysiadłam w Nowym Targu z warszawskiego pociągu raz jeszcze przeczytałam ten fragment. Nie po raz pierwszy zresztą wybierałam się w nieznaną mi stronę zaopatrzoną w literaturę piękną zamiast przewodnika turystycznego. Ilekroć szłam drogami opisywanymi w książce, ilekroć zdarzyło mi się przebywać w miejscach znanych najpierw tylko z literatury; stawały mi się one podwójnie bliskie. Często wydawało mi się wtedy, że poznając je, wracam do nich tak, jak się po wielu latach wraca w odległe i piękne krainy dzieciństwa. Z takimi właśnie uczuciami wysiadłam z pociągu i skierowałam się w stronę Kowańca, skąd po krótkim wypoczynku miałam wyruszyć na Turbacz.

W Kowańcu każdy swe pierwsze kroki kieruje w stronę domu pani Szczygłowej. Nie znalazłam ani jej, ani panujących tu obyczajów, ale znajomi, do których jechałam na Turbacz, wcześniej poradzili mi: „W Kowańcu idź prosto do pani Szczygłowej, tam zjesz śniadanie, odpocznesz i zaczekasz na nas. Zejdziemy z Turbacza po ciebie”.

Wczesny ranek. Słońce rozproszyło już mgły, ale mróz szczytów, chyba minus dziesięć stopni. Wchodzę do dużej kuchni pani Szczygłowej. Pod wielkim kuchennym piecem wesoło płonie ogień. Na płycie, spod uchylonych pokryw garnków unosi się para przesycona zapachami kawy, mleka i przygotowywanego już na obiad kapuśniaku. Pani Szczygłowa spogląda na mnie z uśmiechem, jak na kogoś znajomego. Wsparła ręce o tegie boki i mówi: — „Zimno tu, ale pięknie. Nasze Gorce są najpiękniejsze. Pani na Turbacz? Niech pani siada. Co się pani napije — kawy, mleka, herbaty?” A mówiąc to już mi się nie przygląda, dokłada pod płytę, zagląda do garnków, uwija się, kręci. Choć tęga, zwinności mogłaby jej pozazdrościć niejedna wiotka nastolatka. Mówię, że chciałabym tu poczekać, aż zejdą po mnie z Turbacza. Nie znam trasy i nie wiem czy mogłabym sama tam iść, do schroniska. Znowu spo-

gląda na mnie z tym swoim dobrym, miłym uśmiechem — „Sama też by pani doszła, ale jak zejdą, to razem weselej będzie iść. To jak dla pani, ze trzy godziny drogi pod górę. Niech pani poczeka. To w kuchni, albo może lepiej w pokoju, u babci. Babcia ma osiemdziesiąt trzy lata i przeżyła Oświęcim. Jak pani chce, to opowie”.

Korciło mnie pójść do babci, ale w kuchni było tak ciepło, tak swojsko, tak po domowemu...

— Śniadanie szykujemy. Mam tu chłopców z technikum, mieszkają gdzie indziej, ale u mnie jedzą. Roboty nie brakuje”. Jest rzutka, przedsiębiorcza. — „To pani na Turbaczu jeszcze nie była. A nie ma chyba na całym świecie tak pięknych widoków jak z Turbacza. Ja tam się wychowałam. A teraz mieszkam tu, w Kowańcu. Mam gospodarstwo, kiosk prowadzę, taki ze wszystkim, a od tego roku to i zjeść u mnie można.

— Dużo ma pani zajęć?

— A dużo. Jeszcze praca społeczna. Jestem opiekunem społecznym. Ot, niedawno rozdzielałam zapomogi. Przyjechał taki jeden z powiatu i mówi, że jedną zapomogę przydzieliłam niepotrzebnie. A ja na to: przydzieliłam, to i dostanie. No, bo kto wie lepiej, komu tu najbardziej zapomogi potrzeba. Mieszkam tu tyle lat, to i dobrze wiem, kto naprawdę potrzebuje. I tak zostało.

Zrobił się już późny ranek. Dochodzi dziesiąta. Słyszę w sieni tupanie. Przyszli po mnie. Żegnają się serdecznie z panią Szczygłową i w drogę.

Na szczyt Turbacza prowadzą nas zielone znaki szlaku turystycznego. Mamy przed sobą około dziewięciu kilometrów pod górę, a więc trzy godziny marszu. Jestem zmęczona po nieprzespanej nocy w lodowato zimnej kuszetce (konduktor kuszетки tłumaczył zdenerwowanym i rozdrażnionym pasażerom, rozkładając bezradnie ręce, że widocznie tego wagonu nie sprawdzono w zajezdni w Warszawie). Dość niechętnie wyruszam na trasę. Gdzieś tam koła-

cze się we mnie myśl, że właściwie najchętniej pozostałabym jeszcze w ciepłej kuchni pani Szczygłowej, ale moi towarzysze, po króciutkim wypoczynku ruszają, a ja z nimi. Ich nie przeraża trzygodzinny marsz. Są na Turbaczu już drugi tydzień, idą rytmicznie, zaprawieni w górskich wędrowniach. W tym roku śniegu tu więcej niż gdziekolwiek w górach, nie licząc oczywiście Kasprowego Wierchu. Powoli zbliżamy się do Polany Brożek (968 m. n.p.m.). Tu pierwszy, króciutki postój. Wyszliśmy z pierwszej zalesionej partii szlaku i zbliżamy się do miejsc skąd będzie można oglądać panoramę Tatr. Chłonę oczyma wszystko, na czym zatrzyma się wzrok. Przepiękne drewniane bacówki przycupnęły na rozłożystych stokach w jakiś cudownie naturalny sposób. Harmonizują z płaszczyznami stoków, z zielenią i strzelistością smreków, są nieodłączną częścią krajobrazu. Pierwszy odpoczynek. Tak czysto, tak jasno w powietrzu, że nawet nie chce się sięgnąć po papierosa. Oddychanie, ta na co dzień tak oczywista, że aż niedostrzegalna czynność, tu staje się radością. „Samo życie!” — jak mawiają moi towarzysze. Znika zmęczenie — zaczyna się piękna przygoda, piękne spotkanie z naturą. Siedzimy na drewnianych belkach pod bacówką, w której przez zimę przechowuje się siano. Przymykam oczy. Promienie słońca ogrzewają twarz, ręce, siano z bacówki pachnie najpiękniej na świecie. Gdzieś niezmiernie daleko pozostała zabudowana Warszawa, redakcja, problemy z artykułami, z wierszówką... Jest powietrze, słońce, zielen smreków, przestrzeń rozległych stoków, polan i najpiękniejsza w swojej prostocie radość.

Koniec milego lenistwa. Ruszamy dalej. Moi towarzysze poganiają mnie mówiąc, że jak dojdziemy do Polany Srałowki, to napatrzą się do syta. Intryguje mnie ta nieco śmieszna nazwa i zapowiedź niezwykłych widoków.

A oto i Srałowka. Dostrzegam ją nagle. Wylania się zza ściany lasu jak baśniowe zjawisko. Lśni w słońcu jasne, przesycone złocistością żywicy drewno. Bo Srałowka to najpiękniejszy domek góralski, jaki kiedykolwiek widziałam. Grube bele, z których jest zbudowana, sprawiają wrażenie, jakby nadal krążyła w nich żywica, jakby zastygło w nich słońce. Między belkami uszczelnienia z drewnianych wiórów polyskujących każdym skrzętem. Siadamy na ławce. Przed nami niebywała uczła dla oczu. W czystym górskim powietrzu, przesyconym słonecznymi promieniami, roztacza się nieprawdopodobnie piękna panorama Tatr. Wskazując sobie nawzajem, wymieniamy nazwy szczytów, zachłystujemy się przestrzenią, przy której czujemy się małą ludzką drobiną. To chyba stąd, tak przypuszczamy, Stanisław Staszic wykonał szkice panoramy Tatr, zamieszczonej w „Ziemiorodztwie”, być może tutaj siadywał w zadumie Seweryn Goszczyński, kiedy w 1932 roku bawił w dworku Tetmajerów w Łopusznej... Może i Kazimierz Przerwa-Tetmajer wybierał się tu na spacer...

Dlaczego ten piękny, złocisty domek jest zamknięty na przysłowiowe cztery spusty? Przeznaczony jest przecież albo na dom mieszkalny, albo na małe schronisko? Niestety, na to pytanie nikt nie potrafi mi odpowiedzieć. Postanawiam dowiedzieć się czegoś bliższego o Srałowce po powrocie do Warszawy. Może w Zarządzie Głównym PTTK będą coś na ten temat wiedzieli.

Trzeba iść dalej, ale przyrzekam sobie wrócić tu któregoś słonecznego dnia. A teraz dalej na Turbacz...

Wreszcie i Turbacz. Wylania się widoczny z dala zarys dachu schroniska. Jesteśmy na miejscu. Patrząc na północ ze szczytu Turbacza spoglądałam w stronę grzbietu Turbaczyka, często odwiedzanego przez Orkana, patrzę na las — Rezerwat Orkana. Postanawiam wybrać się do rodzinnego domu Orkana, który znajduje się pod Starmachowskim Groniem. Stąd już dokładnie widać, że Gorce są grupą o kształcie „rozrogu”, czyli mają promienisty układ grzbietów skupiających się na szczycie Turbacza. Główny grzbiet, biegnący równoleżnikowo od Raby Wyżnej przez Rabską Górę, Stare Wierchy, Turbacz, Gorce i Twarogi ku Tylmanowej, ma około 45 km długości. Od grzbietu Turbacz — Gorce liczne ramiona opadają na południe, ku



# PIEKNE GORCE!

przepięknej, słonecznej dolinie Ochotnicy. Były czasy, gdy Ochotnica miała tylko ciemne, bolesne dni. To lata hitlerowskiej okupacji. Lasy gorczańskie dawały wówczas schronienie wielu oddziałom partyzantów — Konfederacji Tatrzkańskiej, Armii Ludowej, Armii Krajowej i Batalionom Chłopskim. Od 1943 roku działały tu również grupy partyzantów radzieckich. Wieś Ochotnica nazwana była „Ochotnicką Republiką Partyzancką”. W odwecie za akcje partyzantów, których wspomagała ludność Ochotnicy, Niemcy urządzali krwawe pacyfikacje, nie oszczędzając kobiet i dzieci. W pierwszych latach powojennych toczyły się tu walki z osławioną bandą „Ognia”. To smutna, przynębiająca refleksja. Aż nieprawdopodobna w ten jasny, słoneczny dzień, a jednak okrutnie prawdziwa.

Któregoś wieczoru na Turbaczu, dwudziestokilkuletni Wojtek, pracujący w schronisku jako palacz, opowiadał nam o swoich rodzicach mieszkających w czasie okupacji i obecnie nadal w Ochotnicy. Wojtek nie pamięta tamtych dni, ale bolesna pamięć o nich przekazywana jest dzieciom od najmłodszych lat. Później Wojtek śpiewał nam gorczańskie piosenki, pokazywał jak się po gorczańsku tańczy... Śpiewał pięknie, niepowtarzalnym falsetem, aż chciało się wybiec z nim na polany, na zbocza, aby głos niósł się daleko...

Hej, przesedł, ja se przesedł całe Ochotnice, jescem se nie nalożł takie tanecnice, hej!

Śpiewał jeszcze o Janosiku i o diable w „konicynie”, opowiadał o wiosnie o Gorcach, o gorczańskich lasach, o polanach zarośniętych krokusami...

A my siedzieliśmy zadumani, rozmarzeni obiecując sobie w cichości ducha, że nie raz jeszcze przyjedziemy tu, gdzie między gorczańskimi grzbietami, kaskadami, zbiegają „Orkanowe roztoki”.

**HELENA DYMSKA**

Wierch Borsuczyny nad Ochotnicą Górną.



Dom rodziny Tetmajerów w Łopusznej



Dom Władysława Orkana między Kouiinkami a Porębą Wielką.







Patrzal w ranki jesienne, jak biale mgly ścielily się po polach i ugorach, na las szarzejący w dali. Gdzieniedzie tylko szarość tego lasu rozświetlala złotem swego umierającego liścia brzoza. Jaskółki dawno już odleciały. Klucze dzikich gęsi teraz ciągnęły ku południowi. Deszcz drobny, zimny zacinal czasem przez dzień cały. Po miedzach i ściężnach błądziły tęsknice.

Pan patrzal z wysokości Swojego krzyża na wsi rozrzucone w dali, na dymy nisko ścielące się; nastuchiwal oddalonych odgłosów życia ludzi i zwierząt.

Czasem zając wypłoszony z pola przypadal do stóp Jego krzyża, krył się w jego cieniu, a odpocząwszy kical dalej.

Czasem kruki przylatywały, siadały na ramionach krzyża i opowiadały zasłyszane wieści ze świata.

W mroźne noce zimowe gwiazdy roziskrzzone, cudownie piękne, migotliwe rozświetlały samotność Pana. Czasem znów wichry skargi swoje zawodziły. A rankami, kiedy słońce wschodziło, biale śniegi skrzyły się brylantami.

A kiedy pierwsze cieplejsze wiatry zaczęły roztopiać śniegi i skiby czarnej, pachnącej ziemi spod nich się wylaniały, przylatywały skowronki. Zawisały nieruchomo w bladym błękitcie nieba i śpiewały najcudowniejszą pieśń o tej ziemi najdroższej, umiłowanej, do której leciały ze stron dalekich, o łanach pełnych złocistych ziaren przyszłego chleba.

Odtąd już Pan nie byl samotny na Swym krzyżu. Wieśniacy ciągnęli drogą koło Niego co ranka z pługami, zdejmowali czapy i rękomą w pracy uzojonymi kreślili na piersiach szeroki znak krzyża i pokornie pozdrawiali Go „Pochwalonym”.

To znów kobieta-starowina a i mlodka zasmuciona przychodziły, obejmowały stopy Jego i wyplakiwały swe zale. Słuchal prósb ich, i żalów a skarg, patrzal w głębie ich serc i myśli najtajniejsze rozważal. Niejedną łzę otarł z oczu wyplakanych i łaską ukonienia gryzący ból uciszal, koil a napominal. I nęjedna ciężka

przewina odjęta sercu umęczonemu u stóp Jego pozostała.

Czasem dziewczyny przynosiły małe wianuszki uwite z polnych kwiatów, stroily nimi drzewce krzyża, dziewczynskie swe próby Panu powierzając.

Byli i tacy, chociaż bardzo a bardzo rzadko to bywalo, co siadali u stóp Jego krzyża nie dla uproszenia łaski dla siebie, a tak sobie tylko, z radości życia, z głębi serca rozmiłowanego w cudzie Jego. Jasnymi oczami patrzyli w oblicze Pana pociemniałe od słót jesiennych a wichrów zimowych, wiodąc z Nim przedziwne rozmowy. Wtedy oblicze Ukrzyżowanego rozpromienial uśmiech dobrotliwy a ramiona, zda się, odrywały się od krzyża, aby objąć w największym umiłowaniu świat cały.

W ciepłe noce wiosenne, gdy uciszal się gwar życia ludzkiego a srebrzysty księżyc wyplywal na niebo i siał swą bladą poświatę na lasy, pola i drogi spowite we mgły lekuchne, zstępował Pan ze swego krzyża i szedł przez łąki

A jakie piękne historie opowiadał!

U ludzi miał mir a poważanie, bo to niejednemu konia uratował, bydłociu każdemu umiejąc pomóc. Bywalo, poważni gospodarze, jeśli co się któremu stalo, przychodzili do dziada Antoniego po radę. I zawsze poradził dobrze. Nieraz, bywalo, i z sąsiednich wsi do niego przyjeżdżali. Dobry byl, to i lubiano go a szanowano.

Dziad Antoni polubil wieś i okolice. A już najbardziej wzgórze przy rozstajnych drogach. Nieraz dzieciaki tam go zastawaly, gdy wsparty na kijku stal długo, coś mówiąc do siebie. Nie mogly tylko wyrozumieć, co też dziad Antoni tak sobie mamrocze,

A potem widzialy, jak koło swojej chalupy mozolil się nad obciosywaniem a wygladzaniem obrzyniego drzewa pod Mękę Pańską. Nieraz mu w tej robocie pomagaly.

A gdy drzewo krzyża bylo gotowe, dziad Antoni jal się wystrugania Chrystusa i dziw, jak

potem dobrodziej serdecznie objal dziada Antoniego i ucalowal go. To byl bardzo piękny dzień, pamietny dzień.

A w kilka dni później dziad Antoni umarl. Umarl cicho tak, jak i żył. A gdy na pogrzebie żegnal dobrodziej dobrego dziada Antoniego, to tak go żegnal, jak druha. Mówiono, że ksiadz dobrodziej dobrze znal starego Antoniego, że razem byli w jokowychs bojach okrutnych.

A gdy i dobrodziej umarl, zapominano powoli o jednym i drugim. Jeno krzyż pozostal na rozstajach. Spróchnialy byl już i szernialy, gwoździe z niego wypadaly, ale stal, czuwal i błogoslawil człowiekowi, zwierzęciu i ziemi.

\*

Aż przyszedł czas straszny. Niesamowity loskot zbudził ciche wie ze snu, dygotem trwogi przelecial przez serca ludzkie. Na polach i drogach tłumy ludzi pędzily przed siebie na oślep, nie wiedząc gdzie i po co. Nad nimi,

# K R Z Y Ż



pełne traw soczystych a pachnących tysiącami woni precudnych, chodzil miedzami pośród bujnych łanów zbóż i dłonią dobrotliwą błogoslawil wie cicho śpiące i ludzi w nich wypoczywających na trud jutrzejszy. Błogoslawil trud oracza i wieczyście jednaki trud siewcy. I zwierzęciu każdemu błogoslawil.

I stal tak na wzgórzu krzyż od lat niepamiętnych, stal przy rozstajnych drogach. Bardzo starzy ludzie opowiadali sobie czasem, że za tych lat, kiedy byli takimi ot, skrzatami, przyszedł do wsi człowiek stary i bardzo życiem sterany. Jak to właściwie z nim bylo, nikt tego nie pamietal. Dość, że we wsi pozostal. Jak się nazywal, też nikt nie wiedzial, może jeden ksiadz dobrodziej.

Dzieciaki nazywaly go dziadem Antonim, a lubily go to już bardzo. Prawda, że nigdy żadne nie sfukał, nie skarcił, a nieraz i obronil przed ojcowym gniewem.

mu to pięknie wychodziło. Gdy całego Pana wystrugal, ułożył Go przy pomocy ludzi, co się z całej wsi zebrali, i gwoździami przybijal do drzewca Jego stopy i dłonie. Ciężka to byla robota dla dziada Antoniego, ponad jego sily. Ręce mu dygotaly a ze starczych oczu plynęły łzy.

W trwożnym skupieniu mężczyźni odkrywaly głowy, kobiety żegnaly się, szepcząc słowa modlitwy.

A gdy dziad Antoni wbijal ostatni gwoźdz w dlonie Zbawiciela, łza wielka spadla z oczu starca na policzek Chrystusa. Zdawalo się, że ta łza wyplynela spod powieki Ukrzyżowanego.

Ale w obliczu Boga nie bylo bólu: spokój przedobrotliwy i miłość byly na twarzy Jezusa. Takiego zanieśli i postawili tutaj.

Kiedy dobrodziej poświęcal miejsce i Mękę Pańską, bardzo pięknie przemawial do zebranych ludzi, że i niejednen łzy ocieral. A

tuż nad nimi, przed nimi, za nimi sunęły powietrzem potwory stalowe. Zialy piekielnym ogniem, miażdżyły. Krwawe lachmany cial ludzkich zalegaly drogi. Wokolo święcily upiorne łuny pożarów.

Jednej nocy, nocy zatracenia, łuna pożaru oświeclala krzyż na wzgórze, wydzwigujac go z mroków, wyolbrzymiając, wzywając na świadka krzywdy, okrucienstwa, grozy. Wzywal Boga krzyk ludzki bólem okrutnym z trzewi wyrwany, wzywal Go jęk konających, rannych.

I oto oderwala się dłoń Boga od krzyża i ręka uniosla się ku gorze. Znieruchomiala.

Ukrzyżowany zdal się mówić: — Ojczy mój w niebie! wyrwij z ucisku niewinnych. Ukarcz zbrodnie. Odwróc Swe zagniewane oblicze od tej biednej ziemi, przywróc jej pokój. Niech nastanie czas łaski, wybaczenia, miłosierdzia, miłości...

DEA WOJNIKONIS



# NIEZAPOMNIANY GŁOS

Wśród wielkich rocznic i jubileuszów, w jakie obfitują ostatnie lata, nie sposób pominąć stulecia urodzin genialnego śpiewaka Enrico Caruso, zwanego królem tenorów, czy najwspanialszym tenorem wszystkich czasów.

Caruso urodził się 25 lutego 1873 roku w Neapolu, jako dziesięćnastoletnie z kolei dziecko ubożego rzemieślnika. W niezwykle trudnych warunkach pracował nad wyszkoleniem muzycznym, wytrwale pokonując usterki w emisji głosu. Jego debiut w 1894 roku w Neapolitańskim teatrze im. V. Belliniego nie przyniósł jednak sukcesu. Na sławę trzeba było jeszcze wiele pracować.

Występy w Mediolanie w początkach 1899 roku uwieńczyły go powodzeniem. Dopiero jednak „Cyganeria” w Monte Carlo 1902 roku, w której występował u boku znakomitej i uroczej śpiewaczki Nellie Melby, jego nazwiska wziął swoją nazwę pyszny mroźny deser) podbiła cały świat.

Od tego momentu rozpoczęła się kariera neapolitańczyka, który aż do śmierci pozostanie pierwszym tenorem nowojorskiej Metropolitan Opera House, występując gościnnie na wielu scenach europejskich, także w Warszawie.

Specyfika jego głosu, zdaniem ówczesnych fachowców, w okresie młodzieńczym charakteryzo-

wała się lekkością i jasnym lirycznym brzmieniem o niesłychanej mocy, co predestynowało go w sposób naturalny do ról lirycznych. Po dwuletniej prawie (1908—1909) chorobie gardła, głos się zmienia, nabiera ciemnej, niemal barytonowej barwy, co powoduje, że Caruso rezygnuje niemal całkowicie z lirycznego repertuaru. Następuje okres partii werystycznych, których genialny tenor okazuje się niezrównanym interpretatorem. W ostatnich latach życia podejmuje się Caruso ról bohaterkich, również ze znakomitymi wynikami — wspaniały głos osiągnął niesłychaną, dramatyczną siłę wyrazu.

Przy ciężkiej pracy śpiewaka operowego, którego repertuar obejmował ponad 60 partii i około 500 pieśni, poświęcał wiele czasu swej pasji kolekcjonerskiej, zbierając z zapalem monety i obrazy a także rysował z powodzeniem karykatury.

Do najlepszych kreacji Enrico Caruso należą partie z „Aidy”, „Rigoletta”, „Carmen”, „Pajaców”, „Cyganerii” i „Żydówki”. Ta ostatnia zakończyła tragicznie olśniewającą karierę tenora. W czasie przedstawienia nastąpił krwotok z gardła. Operacja, choć udana, nie przywróciła zdrowia artyście. Niedługo po tragicznym występie, 2 sierpnia 1921 roku, zmarł w rodzinnym Neapolu.



Głos, który w pierwszym 20-leciu XX wieku wprawiał w zachwyt obie półkule, nagrany na płytach przetrwał — mocno niestety zniekształcony — do dziś.

Nie zapomni o tym z pewnością Polskie Radio.



**Sława E. Caruso przetrwała wiele dziesiątków lat. Jak długo pamiętać będziemy nazwiska dzisiejszych gwiazd?**

ZNAWI I NIEZNANI

## UCZONY EPOKI ODRODZENIA

Stanisław Grzepek urodził się w roku 1524 w niewielkim dworcu szlacheckim we wsi Grzepsko koło Mławy. Już w wieku dziecięcym musiał posiadać wielkie zdolności i nieposkromioną żądzę zdobycia wiedzy, skoro mając zaledwie lat czternaście został przyjęty na Wydział Filozoficzny Akademii Krakowskiej. Ten, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli „nastolatek” z takim zapalem oddał się nauce, że po kilku zaledwie latach zasłynął jako znakomity znawca greki i filolog antycznej.

W tym czasie przez Europę przechodził potężny wiew reformacji, który znalazł licznych zwolenników i w Polsce. Rodzące się na jego tle konflikty wywołały słynny „bunt żaków” w Krakowie. Alma Mater Cracoviensis opuściło wówczas nie tylko część studentów, lecz i kilku profesorów, wykładowców Cicerona, — co skwitował uczyony następującą notatką: „W półroczu letnim 1549 roku przerwano w związku z niepokojami wyjątkową ilość, bo aż 20 proc. wykładów magistrów na Wydziale Filozofii”. Zapis nosi datę 4.VI.1549 r.

Wśród opuszczających miasto znalazł się również Grzepek. Udał się początkowo do Wrocławia, a następnie do Królewca, gdzie zawarł serdeczną przyjaźń z przebywającym w tym mieście późniejszym twórcą „Trenów”, Janem Kochanowskim.

Po kilkuletnim pobycie za granicą uczyony powraca do kraju i obejmuje stanowisko rek-

tora Szkoły Braci Czeskich w Koźmińsku pod Kaliszem. Nie na długo jednak. Oddalenie bowiem od wielkiego ośrodka wiedzy, jakim był wówczas Kraków uniemożliwia mu kontynuowanie studiów. Wraca więc do tego miasta a po uzyskaniu bakalaureatu osiada w rodzinnym Grzepsku, gdzie opracowuje najsłynniejsze dzieło swego życia. Jest nim „Geometria to jest Miernicza Nauka”, będąca próbą praktycznych zastosowań w dziedzinie miernictwa. Dzieło zostało wydane w Krakowie w 1566 r. i wywołało olbrzymią polemikę w kręgach uczonych, tak polskich jak i obcych.

Jan Brożek, wybitny astronom i matematyk, rektor Akademii Krakowskiej tak pisał, blisko sto lat później, o „Geometrii” Grzepskiego: „Była to rzecz na ten czas, jako w języku polskim niezwykła, tak dziwnie wszystkim w Koronie i księstwach do Korony należących przyjemna i która jemu, dość już u ludzi znanych przez naukę głęboko znajomemu więcej dodała u wszystkich stanów znajomości i przyjaźni. „Dzieło to tak dalece się nie „zestarzało”, że cenione jest do dnia dzisiejszego. Podziwiany jest jasny styl, znakomita polszczyzna a także zasób wiadomości z zakresu elementarnego miernictwa.

Następną pracą uczonego, napisaną tym razem w Mławie, a dotyczącą systemów monetarnych było dzieło p.t. „O różnorodnych cyklach i talencie

hebrajskim, również o miarach hebrajskich, tak stałych jak i płynnych”.

W 1567 r. Grzepek wraca do Krakowa i wchodzi w skład Kolegium Większego Akademii, jako „profesor królewski.” Zaszczyc ten jednak pociały za sobą konieczność uiszczenia tak znacznych opłat do skarbu i rektoratu, że nowy profesor nigdy już nie mógł podźwignąć się z biedą.

W ostatnich trzech latach życia Grzepski, utrzymując się jedynie dzięki pomocy materialnej przyjaciół, cały swój czas poświęcił na tłumaczenie. Przekładał z greki dzieła Lukiana, Herodota, Sofoklesa, Arystotelesa i innych filozofów greckich.

Znakomity uczyony i pedagog, autor pierwszej książki technicznej napisanej w języku polskim, matematyk, astronom, numizmatyk, historyk, archeolog. Zmarł w biedzie w wieku zaledwie 46 lat dnia 1 grudnia 1570 r.

Pamięć Stanisława Grzepskiego uczcił poeta i sekretarz królewski, Malcher Pudłowski takim epitafium:

*„To miejsce, w którym ciało Twoje  
pochowano  
Godna rzecz Grzepski, aby łzami  
oblewano.  
Nauka, cnota, rozum i postęпки święte*

*Tam z Tobą w ten grób zaraz z pośrodką  
nas wzięte”*

Już za naszych czasów, bo w 1966 r. w Uniwersytecie Jagiellońskim odbyła się sesja popularno-naukowa zorganizowana przez zakład Historii Nauk i Techniki Polskiej Akademii Nauk, której przedmiotem było życie i całokształt twórczości Grzepskiego.

Opr. J. NOWAK





# Przejedźmy Zalew Zegrzyński na łyżwach

Do prasy często docierają skargi młodzieży zamieszkanej nie tylko w małych miasteczkach, ale i w większych miastach. — że nie mają co zrobić z wolnym czasem, że dziewczęta i chłopcy całe niedziele spędzają na nudnych spacerach po alejkach parków, na siedzeniu w kawiarniach, czasem pójdzie się do kina... a w ogóle to nuda. W swoich skargach młodzież całą winę zwała na złą organizację. Czego? Na dobrą sprawę — wszystkiego. Mówi, że nie ma w ich dzielnicy czy miasteczku domu kultury, klubu młodzieżowego, a jeśli już taki obiekt istnieje — to nie ma w nim różnych urządzeń, które by umożliwiły im spędzenie czasu w ciekawy sposób. W opinii publicznej winę za ten stan rzeczy ponosi zazwyczaj kierownictwo klubu lub władze, które odmówiły funduszy koniecznych na zakupienie sprzętu. Co więc jest powodem, że młodzież zwyczajnie i pospolicie się nudzi — czy rzeczywiście złe warunki i wszystkie te, wielokrotnie już omawiane braki? Wydaje mi się, że wiele w tym wszystkim przesady. W tej sytuacji wśród młodzieży krystalizuje się tzw. „konsumpcyjny pogląd na świat” — polegający po prostu na braku własnej inicjatywy. Czekając na dzień, w którym ktoś narzucenie wszystkie te rozrywkowe sprawy za nich załatwi — siedzą i nudzą się przez kolejne niedziele i święta, w oczekiwaniu, aż ktoś zorganizuje im wolny czas.

Jest wyjście z tej sytuacji — i to wyjście bardzo proste: wystarczy, że ktoś jeden powie: chodźmy razem na wycieczkę. Nie myślę wcale o wycieczkach znanych w szkole pod nazwą masówek, kiedy to wszyscy idąc gęsiego podziwiają zespołowo na dany znak rozmaite obiekty. Do

naszej wycieczki nie trzeba wiele — nie trzeba elektrycznych gitar ze wzmacniaczami, ani kamer filmowych. Wystarczy kilka kanapek, łyżwy, sweter i ciepła kurtka — i dobre chęci. Świat jest ciekawy nie dla tych, którzy wiecznie czekają, aż wydarzy się coś interesującego. Świat jest ciekawy dla tych, którzy potrafią ciekawe rzeczy dostrzegać. To może się udać k a ż d e m u. Wiele zależy od nas samych.

Przyjęło się twierdzenie, że region mazowiecki jest pod względem turystycznym najuboższy. Najczęściej powtarzają to twierdzenie mieszkańcy stolicy. Wielkie nadzieje turystyczne Warszawa miała spełnić Zalew Zegrzyński — no bo dużo wody, plaże, kajaki, żaglówki... Wszystko to bardzo pięknie, ale co robić teraz, zimą? Czy zapasać w zimowy sen? Myślę, że damy sobie jakoś radę z okresem uważanym przez niektórych za okres turystycznie jałowy. **PRZEJEDŹMY NA ŁYŻWACH ZALEW ZEGRZYŃSKI.** W tym roku warunki są bardzo dobre. Zalew zamarł podczas bezwietrznej pogody i lód jest równy.



Na początek proponuję trasę z Nieporętu do Serocka. Do Nieporętu dojeżdża się autobusem PKS z dworca PKS na Żytnej.

Jeśli ktoś się tłumaczy tym, że nie umie jeździć na łyżwach — to przecież nic prostszego, jak się tego nauczyć. Pierwszy odcinek trasy to Nieporęt — Zegrzynek. Ktoś spyta — a co tu ciekawego? Odpowiedź brzmi: bardzo dużo. Po pierwsze warto zwrócić uwagę na wielkie, lśniące w słońcu lodowe kryształki, których wielkie zwalę leżą w tych miejscach, gdzie zbijała się kra. Gdy nie ma słońca przypominają przejrzyste bryły węgla. Poza tym można zobaczyć blisko brzegów wiele przerębli. Nad jednymi czatują rybacy — nad innymi dzikie kaczkę pozostawiające po sobie na nieodgarniętym śniegu ślady drobnych łapek. Same muszą się troszczyć o pożywienie, więc po odejściu rybaków zajmują ich stanowiska. Często są tak zajęte połowem, że można do nich podejść na odległość precyzyjnego strzału z aparatu fotograficznego. Przybrzeżne trzciny osypane szronem nie szumią jak w lecie.

Wiatr dzwoni lodowymi bankami ozdabiającymi ich szare lodogi.

W Zegrzynku jest schronisko PTTK. Można się tu napić gorącej herbaty, obejrzeć drewniany, ozdobiony kamienną wykładziną budynek schroniska, położony, w niedalekiej odległości w Jadwieszynie port YKP, czyli Polskiego Jachtklubu, otoczony owalnym falochronem, opatrzony w wielki dźwig przystosowany do wyciągania z wody żaglówek. I dalej w drogę. Do Serocka już niedaleko. Trzeba teraz trzymać się lewego, wysokiego brzegu, bo środkiem śmigają opatrzone białymi żaglami bojery, rozwijające przy dobrym wietrze szybkość do 80 km na godzinę, więc lepiej im zejść z drogi. Na tym odcinku zwiększa się także liczba stanowisk rybaków i rybitw, a nikomu nie potrzeba chyba tłumaczyć, że przypadkowa kąpiel w przerębli wcale nie zalicza się do niewinnych przyjemności.

Gdy już jesteśmy w Serocku, przy przystani — można zdjąć łyżwy. Normalny spacer też nam dobrze zrobi. Na rynku w miasteczku można wybrać jedną z dwu możliwości: albo pójść na obiad do miejscowej restauracji i zobaczyć za miastem pozostałości po wałach, usypanych przez wojska napoleońskie (po lewej stronie od szosy do Wyszkowa) — albo wrócić do domu autobusem PKS.

Myślę, że wycieczka będzie udana, jeśli zachowamy kilka podstawowych reguł uprawiania turystyki. Czyli po pierwsze — nie wybieramy się na nieznaną trasę sami, nie zapomnimy zabrać ze sobą mapki, jaką kupić można w każdej księgarni, będziemy pamiętać o takich przeszkodach na drodze jak oparzeliska, przerębli i pędzące bojery, wybierzemy się w małej grupce miłych znajomych, a gdy będziemy zmęczeni — zafundujemy sobie kilkuminutowy odpoczynek.

Ktoś może powiedzieć, że Zalew Zegrzyński jest daleko, dojazd trudny... Dobry turysta nie przejmie się byle czym i z każdą przeszkodą umie sobie poradzić. Jeśli więc Zalew z jakichś względów okaże się niedostępny — to przecież w każdej okolicy można znaleźć jezioro, staw — czyli innymi słowy coś, co znakomicie Zalew zastąpi. Po prostu — nie ma żadnego wytłumaczenia. Na wycieczkę trzeba się wybrać koniecznie.

Jeżeli ta pierwsza próba się uda — warto pomyśleć o przyszłości, czyli zapisać się do Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Legitymacją członkowska udostępni nam zniżki w schroniskach, pozwoli na korzystanie z wypożyczalni sprzętu sportowego, będziemy mogli także udać się na ciekawe wycieczki prowadzone przez przewodników.

Zapraszam więc na ten pierwszy wypad — chcę tylko jeszcze przypomnieć o jednym zwyczaju, starannie kultywowanym przez dobrych, wytrawnych turystów: otóż każdemu, nawet nieznanemu człowiekowi spotkanemu na trasie naszej wędrowki wypada z uśmiechem powiedzieć „dzień dobry”. Zwyczaj ten wziął się stąd, że turysta turyście jest dobrym przyjacielem i chętnie służy pomocą, więc i pozdrowić go trzeba.

AGNIESZKA TYMIŃSKA





6  
Które z sześciu obrazków są identyczne?



Ty sam cofnij się parę kroków



Proszę bez lodu...



— Dlaczego uważasz, że jestem zazdrosny?



Ależ nie! Lupiny są niejadalne!...  
(Epoca — Dipas)



— Szkołka racjonalizacja.



To mi zostało po karnawale panie doktorze.  
(Epoca)

Zakład Wydawniczy „ODRODZENIE”  
Warszawa, ul. Koźła 16 18

ZAMÓWIENIE

Zamawiam (my) następujące książki z prośbą o przesłanie ich pod moim (naszym) adresem za zaliczeniem pocztowym:

- ..... egz. M. Miniąt — Wierność i Kłątwa. Warszawa 1921 r. 50.—
- ..... egz. W. Benedyktowicz — Bracia z Epworth. Warszawa 1921 r. 45.—
- ..... egz. W. Wysoczański — Prawo wewnętrzne kościołów i wyznań nierzymskokatolickich w PRL 40.—
- ..... egz. Kalendarz Katolicki 1973 r. 20.—

Przesyłkę zobowiązuję (my) się wykupić natychmiast po jej nadejściu.

Imię i nazwisko, adres zamieszkania . . . . .

.....  
.....  
.....  
.....

Zakład Wydawniczy „Odrodzenie” zawiadamia uprzejmie, że w pierwszych dniach grudnia ukazał się w sprzedaży Kalendarz Katolicki na rok 1973. Aby uniknąć poszukiwań w księgarniach i kioskach, wystarczy wysłać zamieszczone obok Zamówienie. Wysyłamy za zaliczeniem pocztowym.

PRZECZYTAJ

WYTNIJ



## Odpowiedzi lekarza

PAN J. S. — JASTROWIE — Z objawów podanych przez Pana można przypuszczać, że cierpi Pan na zapalenie zatok czołowych. Schorzenie to leczyć należy u laryngologa. Leczenie jest długotrwałe, ale daje dobre wyniki.

PANI ZDZISŁAWA J. — PUSZCZYKOWO — Paradentozą, czyli po polsku przyzębica, jest stanem chorobowym przyzębia, czyli tych elementów anatomicznych, które stykają się ze sobą przy szyjce zęba. Przyczyny choroby nie są wyjaśnione. Przebieg jest przewlekły, trwa latami. Leczenie miejscowe przeprowadza stomatolog. Konieczne jest usunięcie kamienia nazębnego, który jest jedną z przyczyn usposabiających do powstania przyzębicy. Metody leczenia miejscowego są rozmaite i nieraz trzeba parę wypróbować nim trafi się na właściwą dla danego przypadku. Jeśli chodzi o leczenie ogólne to wskazane jest podawanie środków ogólnie wzmacniających. Zaleca się dietę mlecznoroslinną, bogatą w witaminy, szczególnie witaminę C, i sole mineralne, a o małej zawartości cholesterolu.

PANI LUCYNA J. — JÓZEFÓW — W chorobach wątroby i kamicy żółciowej stosuje się następujące zioła: kolender, dziurawiec, krwawnik, mniszek, mięte pieprzową, mydlicę, kruszynę. Można też używać mieszankę ziolową „Cholagoga”, granulat „Cholegran”, lub płyn „Cholesol”.

PANI MGR HALINA P. — KATOWICE — Dziękuję za miły list i życzenia, również życzę Pani pomyślności i zdrowia. Wiersz naprawdę ładny i mądry.

## Odpowiedzi prawnika

Z. Z. BĘDZIN — W sprawie należy wystąpić z pozwem do Sądu. Samej jednak będzie Pani trudno. Winna Pani wystąpić z wnioskiem do Sądu Powiatowego o przydzielenie Jej adwokata z urzędu (bezpłatnego) w celu wniesienia pozwu. Może też Pani udać się ze skargą do prokuratora, że mąż uchyla się od płacenia alimentów. Można też dowiedzieć się w sekretariacie Prezesa Sądu Powiatowego czy w Będzinie działa Komitet Pomocy Społecznej, który zajmuje się pomocą w dochodzeniu alimentów od ojców uchylających się od obowiązków alimentacyjnych.

O. S. OPOLE — W sprawie wybudowania pomnika winien Pan wystąpić o zezwolenie do urzędu gminnego. W przypadku uzyskania takiego zezwolenia i po wybudowaniu pomnika również i jego „zabranie” wymaga zgody urzędu gminnego. Nic w tych sprawach nie może dziać się samowolnie. Czy takie zezwolenia zostaną Panu wydane nie możemy się co do tego wypowiedzieć.

S. P. MYSŁOWICE — Słowo „pasierb” nie jest pojęciem prawnym. Prawnie można mówić o powinowactwie, które zachodzi między małżonkiem a krewnymi, a więc i dziećmi z drugiego małżonka. Powinowactwo trwa bez względu na wiek dzieci i ich stan cywilny. Powinowactwo ma określone skutki prawne np. powinowaci w linii prostej nie mogą zawrzeć ze sobą małżeństwa.

A. H. PODHORCE. — W sprawie wydzierżawienia gospodarstwa w związku z wyjazdem za granicę, winien obywatel zasięgnąć informacji u notariusza, który jest najbardziej miarodajny do udzielenia wyjaśnień w tej sprawie.

— Dzień dobry — powiedział cicho.  
— No, widzi pan, nie ma czego się martwić — wesoło mówił Czyński. — Teraz wszystko pójdzie dobrze. Gdybym wcześniej dowiedział się o przykrościach, które pana przez nas spotkały, zająłbym się pańską sprawą. Teraz już niedługo będzie pan tu siedział. Zrobimy wszystko, by przyspieszyć apelację, a po apelacji, jestem przekonany, wypuszczą pana. Jakże się pan czuje?  
— Dziękuję, to, jak w więzieniu...  
— Kochany stryjcio tak zmierzal — powiedziała Marysia.  
— A tyś wydobrzała, gołąbeczko — uśmiechnął się do niej.  
Skinęła głową:  
— To ze szczęścia.  
— Ze szczęścia?...  
— Tak, z wielkiego szczęścia, jakie mnie spotkało.  
— Jakieś to szczęście? — zapytał Kosiba.  
Marysia wzięła Leszka pod rękę i powiedziała:  
— On wrócił do mnie i już nigdy nie zostaniemy się.  
— Marysia zgodziła się zostać moją żoną — dodał Czyński.  
Znachor chwycił się oburącz za kratę, która oddzielała go od nich, jakby bojąc się, że zachwieje się i upadnie.  
— Jak to? — zapytał zdławionym głosem.  
— Tak, stryjciu, z uśmiechem odpowiedziała Marysia. — Leszek wyleczył się i wrócił. Widzisz, że niesprawiedliwie go potępiłeś. On mnie bardzo kocha, prawie tak mocno, jak ja jego...  
— Przeciwnie — przerwał wesoło Leszek — ja znacznie mocniej!  
— To niemożliwe. I wkrótce się pobierzemy. Przyjechalśmy tu razem z mamą Leszka. I mama kupiła mi te wszystkie wspaniałości. Jakże ci się podobam, stryjciu?...

Dopiero teraz spostrzegła dziwne przygnębienie swego starego przyjaciela:  
— Nie cieszysz się stryjciu, moim szczęściem? — zapytała i nagle zrozumiała: — Ależ to bardzo niedelikatnie z naszej strony, gdy ty tutaj musisz przebywać. Nie gniewaj się za to!  
Znachor wzruszył ramionami...  
— A któż się gniewa... Ot... nie spodziewałem się... Daj wam Boże, jak najlepiej...  
— Dziękujemy, serdecznie dziękujemy — podchwycił Leszek. — Ale proszę nie smucić się swoim losem. Powierzylimy pańską sprawę najlepszemu tutejszemu adwokatowi, mecenasowi Korczyńskiemu. Korczyński twierdzi, że potrafi pana uwolnić. A jemu można wierzyć.  
Kosiba machnął ręką:  
— A, szkoda zachodu!...  
— Co stryjcio mówi — oburzyła się Marysia.  
— Niczego nie szkoda — zapewniał Leszek. — Pan jest naszym największym dobroczyńcą. Przez całe życie nie zdołamy wywdziękować się Panu. I niech pan wierzy, że na głosie stanę, a odzyska pan wolność, panie Kosiba.  
Na twarzy znachora zjawił się smutny uśmiech:  
— Wolności?... A... co mi po wolności?... Młodzi zdumieni spojrzeli na siebie! I Leszek potrząsnął głową:  
— To chwilowe przygnębienie. Niechże pan tak nie myśli...  
— Dlaczego stryjcio tak mówi?  
— Pewno, gołąbeczko — westchnął Antoni — i mówić nie trzeba. Nie ma o czym mówić. Daj ci, Boże, radość i spokój, gołąbeczko... No, na mnie czas, żegnajcie... A mną, starym, nie zavraccacie sobie głowy...  
Sklonił się ciężko i zawrócił do drzwi.  
— Panie Kosiba! — zawołał Leszek.

Lecz przyspieszył kroku i już był na korytarzu. Szedł coraz prędzej aż dozorca nie mógł za nim nadążyć i zirytował się:  
— Co tak lecisz! Wolniej tam! Nogi mam przez ciebie pogubić!  
Znachor zwinął i szedł z opuszczoną głową.  
— Kto ona dla ciebie jest ta paniuszka? — zapytał dozorca. — Krewna, czy dobra znajoma?...  
— Ona? — nieprzytomnie spojrzął nań znachor. — Ona?... Czy ja mogę wiedzieć...

### TADEUSZ DOŁĘGA MOSTOWICZ



— Niby w jaki sposób nie możesz wiedzieć?  
— A no, człowiek dla człowieka jednego dnia może być wszystkim, a drugiego... niczym.  
— Nazywała cię stryjem. \*  
— Nazywać różnie można. Nazwa to pusta rzecz.  
Dozorca aż sapnął z gniewu:  
— Za wielki jesteś dla mnie filozof... Tfu!  
Czyż mógł domyślić się, co dzieje się w duszy tego człowieka. Czyż mógł przypuszczać,



# Rozmowy z czytelnikami

**Franciszek Chrzanowski — Brzesko**

Otrzymujemy od Pana wiele listów, z których wynika, że jest Pan głęboko zainteresowany problemami religijnymi i stara się je rozwiązywać zgodnie ze wskazaniami Pisma św. Naturalnie, nie możemy podzielać wszystkich poglądów Pana, bo nasza interpretacja Biblii jest w wielu sprawach inna, ale to nie przeszkadza wcale w podtrzymywaniu znajomości i nie może przekreślić wzajemnego szacunku.

**Monika Chudkiewicz — N. Wiśnicz**

Nie wiemy doprawdy, co się stało z listem Pani, przysłanym do redakcji w lipcu 1972 r. Jeśli będzie Pani miała tyle cierpliwości, aby raz jeszcze, choćby w skrócie przypomnieć postawione w nim zarzuty, zobowiązujemy się dać na nie szybką odpowiedź. Bardzo nam przykro, że list ten zaginął.

**Stala Czytelniczka — Poznań**

„Rozłąka na wieki z najbliższymi, czyli śmierć, to największy ból człowieka na tej ziemi. Nie na próżno pisze „Słowo Pow-szechnie” w jednym artykule: „Życie człowieka, to dramat człowieka”. Więc po cóż się rodzić?”

Wydaje się nam, że nie ma Pani racji. Niewątpliwie wyrażenie „życie człowieka, to dramat człowieka”, zawiera prawdę, ale tylko połowiczną. Życie człowieka, to także radość jego dzieciństwa, młodości, wieku dojrzałego, a na-

wet wieku starczego. Tylko w bardzo wyjątkowych i nielicznych wypadkach może ktoś powiedzieć, że całe jego życie było dramatem. Trzeba zawsze widzieć i dobre i złe strony. Jak w przyrodzie nie zawsze trwa słotna jesień lub dokuczliwa zima, lecz istnieją także przepiękne dni wiosny i lata, tak i w naszym życiu istnieją różne okresy — radosne, smutne, a nawet tragiczne. Człowiek wierzący ma jeszcze tę pociechę, że dobry Bóg i sprawiedliwy, wynagrodzi w życiu przyszłym cierpienia czasu teraźniejszego. Oczekujemy także od Boga przywrócenia społeczności z naszymi najbliższymi, którzy wcześniej od nas znaleźli się w wieczności. Wierzymy w ich i w naszą nieśmiertelność. Jeśli ktoś nie wierzy w życie pozagrobowe, niech się nie zaczyna w swym bólu, cierpieniu, lecz niech stara się je pokonać, znaleźć ukojenie w pożytecznej działalności, w absorbującej i angażującej go pracy, w doskonaleniu swego umysłu i serca.

**P. Z. — Katowice**

Dziękujemy za podjętą próbę wytłumaczenia „co to jest cierpienie?” Pisz Pan, że... „jest okres lub czas, w którym człowiek ma możliwość skoncentrowania umysłu nad sprawami Bożymi”. Rzeczywiście, dla wielu ludzi ciężkie życie, dla których nie mieli zbyt dużo czasu na zastanawianie się nad sobą, jakaś krótkotrwała choroba i związane z nią przebywanie

w szpitalu, może przyczynić się do zrobienia rachunku sumienia z dotychczasowego życia i w konsekwencji do zmiany tego życia na lepsze. Dla tych ludzi wierzących Pańska definicja cierpienia byłaby właściwa. Są jednak takie cierpienia, które uniemożliwiają koncentrację umysłu, są boleści, które paraliżują działanie rozumu a nawet prowadzą do utraty przytomności. Dla takich cierpień Pańskie określenie cierpienia nie ma zastosowania. Osobiście mam wątpliwość, czy można w ogóle zdefiniować cierpienie. Może ktoś z Czytelników napisze na ten temat?

**Bogumił Kula — Olkusz**

Administracja „Rodziny” przesłała Panu wykaz tytułów książek, które posiada nie wiedząc o tym, że książki te już Pan nabył. Innych książek nie mamy. Prócz „Rodziny” wydajemy kwartalnik „Posłannictwo”, ale nie rozprawdzamy go przez „Ruch”. Można kwartalnik zaprenumerować. Każdego roku wydajemy także „Kalendarz Katolicki”. To wszystko.

Jeśli jest Pan zainteresowany skryptami i dziełami teologicznymi, proszę zwrócić się do Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie (Miodowa 21) i

poprosić o przysłanie wykazu ich wydawnictw.

**Zenon Przykuta — Chorzów**

Podzielamy Pańskie, na zdrowym rozsądku oparte twierdzenie, że to... „pasterze podzielili Kościół Chrystusowy, owce zaś poszły za nimi — jedne do Kościoła Rzymskokatolickiego, inne do Kościoła Prawosławnego, inne do Kościołów Ewangelickich, inne zaś do Kościoła Starokatolickiego. Niechże więc teraz pasterze ci doprowadzą do jedności Kościoł, który rozbili”.

Jak praktyka wykazuje, łatwiej jest rozproszyć, aniżeli zgromadzić. Pociechą dla Pana i dla wielu tęskniących do jedności chrześcijaństwa, niech będzie fakt, że duch ekumeniczny, duch zjednoczenia ogarnia coraz szersze kręgi duchownych, teologów, duszpasterzy. W Tygodniu Modlitw o jedność Chrześcijan spotykają się ze sobą „pasterze” różnych wyznań. Modlą się wspólnie z wiernymi, odbywają konferencje, zapoznają się. W ten sposób przełamywane są pierwsze lody, usuwa się zastarzałe antagonizmy, wskrzesza ducha tolerancji, a nawet życzliwości i sympatii. Jeśli nie wyniknie z tego całkowite pojednanie, to nastąpi przynajmniej okres przyjaźni między Kościołami. A to już byłoby miłym krokiem na drodze do zjednoczenia.

Pozdrawiamy.

**Ks. E. B.**

że więzien Antoni Kosiba przeżywa najcięższą chwilę w swoim ubogim życiu?... Zarówno on jak i towarzysze z celi zauważyli tylko, że w zachora jakby coś uderzyło, jakby go coś przywaliło i przygniotło. Zaniemówił zupełnie, przez całą noc przewracał się na swoim sienniku, a z rana nie zgłosił się na ochotnika do pracy i został sam w celi.

I nie było w tym kłamstwa, gdy powiedział Czyńskiemu, że nie pragnie wolności. Nie pragnął teraz niczego.



Nie, nigdy nie robił żadnych planów. Po-dejrzenia Zoni o jego projektach małżeńskich wydawały się nawet dziwaczne. Po prostu chciał mieć Marysię przy sobie. Oczywiście. Po wielu latach samotności wśród obcych ludzi po to tylko znalazł czyjeś serce, by je utracić. Gdy poznał Marysię, gdy odczuł tę sympatię, którą w niej wzbudził, gdy zrozumiał, że ta dziewczyna jest dlań droższa niż wszystko inne — zaczął już wierzyć, że znalazł wreszcie cel życia.

gdyby zechciała zostać jego żoną, gdyby w ten sposób mógł zapewnić jej spokojny byt i jaki taki dostatek oraz opiekę i osłonę przed złymi językami, posłubiłby ją. Ale bodaj wolałby, żeby zwyczajnie została przy nim. Niechby nawet wyszła za mąż za takiego Wasilkę...

Mieszkaliby razem, nie rozstawali się nigdy. codziennie widziałby jej niebieskie oczy. słyszałby jej dźwięczny głos, grałby swoje stare serce jej wiosennym uśmiechem. Każdy dzień wówczas miałby jakiś sens, wieczorem wiedziałby, dlaczego pracuje, po co zarabia...

I nagle rozbiły się wszystkie nadzieje. Antoni Kosiba bynajmniej nie widział szczęścia Marysi w tym, że zostanie ona wielką panią. że będzie miała bogatego męża. Nie lubił bogactwa, chociaż sam nie wiedział dlaczego. nie ufał mu. Nie ufał też młodemu Czyńskiemu. W samym fakcie, że ten paniczek pokochał Marysię nie było nic dziwnego. Któż bowiem poznawszy tę dziewczynę przeszedłby obok niej obojętnie. Toż i w Radoliszkach wszyscy młodzi ludzie zalecali się do niej. A to, że Czyński zdecydował się na małżeństwo. A no, pańska zachcianka. Nie mógł inaczej jej zdobyć, ale czy potrafi, czy zechce zapewnić jej szczęście?... Czy zdoła pojąć jaki wielki skarb posiada, czy oceni ten skarb należycie, czy go nie zmarnuje?...

Podczas pobytu Marysi w młynie Antoni Kosiba ani słówkiem nie wspomniał o Czyńskim. Rozmyślnie milczał, a przecież widział strapienie dziewczyny, przecież nie uszło jego uwadze jej wyczekiwanie listu. Gdy mijaly długie tygodnie, a list nie nadchodził w głębi duszy cieszył się:

(75)

c.d.n.



Wydawca: STPK Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Koźła 16/18, telefon: 31-02-12. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Towarowa 28. Prenumeraty są przyjmowane do 10 dnia każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę za granicę, która jest o 40 proc. droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO nr 1-6-100024 (Roczna prenumerata wynosi dla Europy 7,50 dol.; dla St. Zjednoczonych i Kanady 11,70 dol.; dla Australii 7,50 dol.; Kraje Afrozjatyckie i zamorskie 7,50 dol.; NRF 33 DM). Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.

Skład, łamanie: PZG RSW „Prasa”, Warszawa, Al. Jerozolimskie 128/127. Druk: Zakłady Włókiendrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. R-100. Zam. 3274.

Zdjęcia: CAF, La Vie Catholique R. Kłosiewicz.





# ŚMIERĆ MOJŻESZA

„Mojżesz wstąpił z równiny Moabu na górę Nebo, na szczyt w Pisga, naprzeciw Jerycha i pokazał mu Bóg całą ziemię Gilead aż po Dan; całą — Neftalego, ziemię Manasses i Efraima, całą krainę Judy aż po Morze Zachodnie; Negeb, okręg doliny koło Jerycha, miasta palm, aż do Soaru.

Rzekł Bóg do niego: Oto kraj, który poprzysiągłem Abrahamowi Izaakowi i Jakubowi w tych słowach: Dam go twemu potomstwu. Dałem ci go zobaczyć własnymi oczyma, lecz tam nie wejdiesz. Tam według postanowienia Boga, umarł Mojżesz, sługa Boży, w krainie Moabu, naprzeciw Bet — Peor, a nikt nie zna jego grobu aż po dziś dzień. W chwili śmierci miał Mojżesz sto dwadzieścia lat, a wzrok jego nie był

przyćmiony i siły go nie opuściły. Synowie Izraela oplakiwali Mojżesza na stepach Moabu przez trzydzieści dni. I potem skończyły się dni żałoby po Mojżeszu. Jozue, syn Nuna, pełen był mądrości, gdyż Mojżesz włożył na niego ręce. Słuchali go synowie Izraela i czynili jak im rozkazał Bóg przez Mojżesza. Nie powstał więcej w Izraelu prorok podobny do Mojżesza, który by poznał Boga twarzą w twarz, ani równy co do wszystkich znaków i cudów, które polecił mu Bóg czynić w ziemi egipskiej wobec faraona, wszystkich sług jego i całego ludu; ani co do ręki mocnej i wszystkich dziwnych i wielkich rzeczy, które sprawił Mojżesz na oczach całego ludu” (Pp. 34, 1—12).